



Dianne Drake

Lawina uczuć



ROZDZIAŁ PIERWSZY

- Co za dziura! - mamrotał gniewnie Michael Morse, obracając mapę na wszystkie strony i rozglądając się bezradnie, po czym zniecierpliwiony zmiażdżył mapę w kulkę i cisnął na tylne siedzenie dżipa. Zerknął na ciemniejące niebo i zaklął pod nosem.

Błądził po tym pustkowiu od dobrych dwóch godzin i nie wiedział nawet, czy jedzie we właściwym kierunku. Popatrzył przez przednią szybę auta, potem przez tylną i westchnął ciężko: w obu kierunkach w nieskończoność, zdawałoby się, ciągnęła się opustoszała biała droga.

- Wariatka. Po prostu wariatka. Co ci strzeliło do głowy, żeby tu zamieszkać, ty szalona kobieto?

A podobno marzyły jej się krótkie wakacje na Alasce. Uznał, że to świetny pomysł; po śmierci ojca czuła się taka samotna, ale żeby nowe życie zaczynać w jakimś Elkhorn na Alasce? W miejscinie o nazwie „Łosiowy Róg”, której populacja nie przekracza pięciuset osób? Śmiechu warte.

Trafił więc na to odludzie i teraz gania za matką po bezdrożach Alaski, poważnie podejrzewając ją i siebie o utratę zdrowych zmysłów. Bądź co bądź Maggie to dorosła kobieta, znakomity chirurg i doświadczona podróżniczka, która potrafi się o siebie zatroszczyć.

Jednak matka to matka i to przesądzało sprawę: musi ją odnaleźć.

Michael rozejrzał się jeszcze raz, łudząc się, że może tym razem wypatrzy jakiś punkt orientacyjny, lecz wciąż widział tylko wąskie, wyboiste, oblodzone drogi i drzewa nakryte czapami śniegu. Mnóstwo drzew. I oczywiście ani jednego drogowskazu.

Innymi słowy, jeśli już się nie zgubił, to zgubi się za chwilę, bez względu na to, którą drogę wybierze. Na domiar złego kończy mu się benzyna, a nie miał zielonego pojęcia, kiedy będzie mu dane znowu zobaczyć żywą duszę ani jak trafić do najbliższego punkciku na mapie, szumnie zwanego „miastem”, i czy w ogóle można tam zatankować.

Taka rozsądna kobieta tutaj? Niemożliwe. Niemniej w mailu sprzed tygodnia wyraźnie napisała, że mieszka w Elkhorn gdzieś w pobliżu Moosejaw przy drodze z Bear Creek - i to z facetem o imieniu Dymitr.

Też mi imię, Dymitr. Michaelowi od razu stawał przed oczami obraz wielkiego, zwalistego gościa.

Krzyknął ze złości i natychmiast zrobiło mu się wstyd. Jednak dla lekarza urlop to cenna rzecz, a kiedy już zdołał uzbierać kilka dni wolnego, zdecydowanie wolałby jakąś ładną plażę w ciepłym kraju. Z pewnością nie alaskijskie wybrzeże.

Wiedział, jak jej teraz ciężko. Kto nie przeżywałby śmierci człowieka, z którym przeżyło się czterdzieści lat?

- Ale mało kto jechałby ze swoim złamanym sercem akurat na Alaskę - poinformował jastrzębia, który zatoczył na niebie wielkie koło. - Prosto w ramiona typa nazwiskiem Dymitr Romonow - dodał, podnosząc głos.

Jastrząb zaskrzeczał urażony i odleciał w siną dal. Michael poczuł się straszliwie samotny.

- Doktora Dymitra Romonowa - wycodził z obrzydzeniem, rozmyślając o spryciarzu, który bezwstydnie wykorzystuje jego matkę. - Już ja znam ludzi tego pokroju.

Rozprostował mapę, a potem znowu ją zgniótł.

- No to gdzie jest to Elkhorn? - mruknął, płosząc zajaca, który właśnie wychynął z zarośli. Zwierzak dał błyskawicznego susa i zniknął za najbliższym krzaczkiem.

Michael wysiadł z dżipa i rozglądał się bez większej nadziei, jednak zawsze lepsze to od bezczynności. Kiedy ma się grubo ponad metr dziewięćdziesiąt wzrostu, człowiek musi czasem rozprostować nogi.

- Okej, przyznaję się bez bicia. Zgubiłem się. Zgubiłem! - powtarzał, ślizgając się po lodowej skorupie, dopóki nie dotarł do rozwidlenia drogi.

Liczył na to, że któraś z trzech, odnóg nosi ślady częstszego użytkowania: głębsze koleiny, cieńsza warstwa śniegu, drobiazgi, na jakie zawsze uczulał swoich kursantów. Niestety, wszystkie wyglądały identycznie.

Powolutku obracał się wokół własnej osi, szukając czegokolwiek, co umożliwiłoby powrót na łono cywilizacji. Nagle usłyszał ryk silnika. Na drodze niczym spod ziemi wyrósł inny dżip i śmignął koło niego.

- Co do cho... - warknął, czując na twarzy powiew zimnego powietrza.

Raptem rozpedzona terenówka wpadła w poślizg, zaledwie kilka metrów od niego. Wykonała jeszcze dwa piruety i wylądowała w rowie.

- Zglupiał pan czy co? - krzyknęła kobieta, która siedziała za kierownicą. - Życie panu niemiłe, czy chciał mnie pan zabić?!

Wygramoliła się z samochodu, przyklękła na śniegu i zajrzała pod podwozie. Potem wstała, nabrała tchu, jak gdyby szykowała się do kolejnej tyrady, stanęła twarzą w jego stronę i... oniemiała.

- Nic się pani nie stało? - zapytał.

- Nie, nic... - Urwała, potrząsnęła głową i dodała gniewnie: - Co pan tak stoi? Czeka pan na następny samochód? W końcu ktoś pana przejedzie i będzie pan miał za swoje. Ale ja pana zbierać z drogi nie będę, nie mam na to czasu.

- Na pewno nic pani nie jest? - spytał Michael.

Może uderzyła się w głowę. To by wszystko tłumaczyło - przy urazach głowy ludzie często gadają od rzeczy. Stał zbyt daleko, aby przyjrzeć się jej źrenicom, ale wolał bardziej się nie zbliżyć. Z wariatami nigdy nie wiadomo.

- Zastanawia się pan, czym mam wstrząs mózgu?

- Jeśli uderzyła się pani w głowę...

- Nic mi nie jest, chociaż to nie pańska zasługa. Trzeba mieć pstro w głowie, żeby stać na środku jezdni i czekać na Bóg wie co. No, będzie mnie pan diagnozował na odległość, czy ruszy się pan i popchnie mój samochód?

- Ja? A z jakiej racji? Po pierwsze, nie wylądowałyby pani w rowie, gdyby nie prowadziła pani jak wariatka. Nie moja wina, że fatalny z pani kierowca. - Cofnął się o krok. - Do siebie może pani mieć pretensje.

- A pan do siebie, kiedy odjadę pańskim dżipem, a pana tu zostawię. A nie zawaham się tego zrobić. Pański wybór. Wypchnie mnie pan z rowu i jadę własnym autem albo zabieram pańskie. Jak pan woli.

- Zsunęła z czoła futrzaną czapkę i spojrzała na niego pytająco: - Zdecydował pan?

Była wysoka - co najmniej metr siedemdziesiąt wzrostu - i ubrana w grubą czerwoną kurtkę w kratę.

- Dobrze, pomogę pani, ale nie z obowiązku - odparł cierpko. - Ma pani szczęście, że wylądowała pani w rowie, a nie w szpitalu.

Jako szef oddziału ratunkowego dzień w dzień oglądał skutki nierozważnej jazdy: koszmarnie obrażenia, trwałe kalectwo, śmierć. Wprawdzie piraci drogowi kojarzyli mu się raczej z dużymi miastami, najwyraźniej jednak bezmyślność i brak wyobraźni za kierownicą występują pod każdą szerokością geograficzną, w tym i w okolicach Elkhorn.

- Pan też miał szczęście, bo...

- Tak, wiem. Ukradłaby pani mojego dżipa i zostawiła mnie tu samego. Ciekawe tylko, jakim sposobem odebrałaby mi pani kluczyki.

- A takim, że jadę do nagłego wypadku. Mam takie uprawnienia jak policja.

Wyciągnęła zza poły kurtki portmonetkę i pokazała mu odznakę.

- Kajdanki też pani ma? - zapytał, ukrywając uśmiech.

Ta jej wojownicza postawa wydawała mu się jedynie pozą i, o dziwo, było to nawet urocze. Nie w jego typie, ale ognista dziewczyna, niemniej w tej chwili interesowało go jedynie to, jak można dotrzeć do kliniki Romonowa.

- Popchnę, a pani w rewanżu powie mi, jak dojechać do Elkhorn.

- Wrzucę wsteczny - mruknęła, wskakując do auta.

- Dam znać kiedy. Tylko niech pan nie stoi za samochodem. Nie chcę...

- ... zbierać mnie z jezdni, nie ma pani na to czasu. Dwie próby rozkołysania terenówki na tyle, aby tylnymi kołami sięgnęła drogi, zakończyły się niepowodzeniem, bowiem Michael ciągle się zapadał w śniegu. Za trzecim razem najpierw odgarnął śnieg, aby znaleźć dla stóp solidne oparcie, popchnął, i wreszcie się udało. Kobieta wycofała samochód, ale tak szybko, że znowu wpadła w poślizg i omal nie uderzyła w bok jego dżipa. Zaczęła gwałtownie hamować, samochód zrobił na lodzie kilka kółek i w końcu się zatrzymał.

- Wyjątkowo głupie miejsce na postój pan sobie wybrał! - zawołała jeszcze.

- Powinno się pani zabrać prawo jazdy, bo albo się pani sama zabije, albo kogoś innego. Byle nie mnie, do jasnej cholery!

- To niech pan nie stoi na środku skrzyżowania

- odparła, zawracając.

- To którą do tego Elkhorn? - spytał, brnąc w śniegu. - Zresztą wszystko mi jedno gdzie, bylebym mógł zatankować.

- A co pana sprowadza do Elkhorn? - zapytała, przechylając głowę.

Po raz pierwszy miał okazję przyjrzeć się jej twarzy, zaskakująco ładnej, chociaż o nieustępliwej minie. A matka się zaklinała, że tutejsi są nad wyraz przyjaźni...

- Proszę mi tylko powiedzieć, jak dojechać do kliniki w Elkhorn.

- Chyba pan żartuje! - wykrzyknęła, kręcąc głową. - Nie. On by mi tego nie zrobił. - Westchnęła ciężko, a mroźne arktyczne powietrze zmieniło jej oddech w biały obłoczek pary. - Proszę pana, ja naprawdę nie mam czasu na pogaduszki. Już straciłam przez pana pięć minut.

- Pogaduszki? - odparł, nie wiedząc, czy śmiać się, czy płakać. - Miałem wrażenie, że ja zebrzę o pomoc, a pani tylko na mnie krzyczy i grozi, że ukradnie mi samochód. I mówi sama do siebie. W moich stronach staramy się takich osób unikać.

- Cóż, więc proszę mnie unikać, dobrze?

- Z przyjemnością zacząłbym od zaraz, tylko niech mi pani powie, co z tym Elkhorn.

- Tędy- mruknęła, wskazując kierunek. - W lewo, potem pierwsza w prawo, znowu w prawo przy czerwonej stodole, jeszcze raz w prawo przy zardzewiałym pikapie, potem dziesięć kilometrów prosto i w lewo przed stawem Dowiaka, będzie tabliczka. Potem prosto aż do rozwidlenia dróg, na rozwidleniu w lewo i jeszcze raz w lewo przed głazem. Spokojnie, nie przegapi go pan, leży na samym środku jezdni. Potem już prosto aż do samego Elkhorn.

- Mogłaby mi to pani zapisać? - spytał bez większej nadziei. - Zaczynając od tej czerwonej stodoły...?

Westchnęła i zniecierpliwiona pokręciła głową.

- Śpieszę się. Milt Furman powinien tędy przejeżdżać, oczywiście o ile przyszła jakaś poczta. A jeśli nie, to wieczorem będę tędy wracać. - Spojrzała na sine niebo i ściągnęła brwi. - Na upartego może pan jechać za mną. Wybieram się do Bobrowej Tamy, stamtąd wracam do Elkhorn.

Skreśliła w prawo, Michael zaś przez chwilę nie ruszył się z miejsca. Bil się z myślami: czekać na pojawienie się Milta jak-mu-tam, na powrót tej wariatki, czy też zmówić pacierz i od razu za nią jechać?

- Cholera, a co mi szkodzi - mruknął, wskakując do samochodu i ruszając z piskiem opon.

Może na miejscu znajdzie się ktoś życzliwszy, kto narysuje mu mapkę. Może nawet uda mu się zatankować, skoro potem przyjdzie mu godzinami tłuc się po bezdrożach w poszukiwaniu jakiegoś przeklętego głazu na środku drogi. No i matki.

- Ale mi zafundowałaś wakacje, Maggie Morse -mruknął, dogoniwszy nieobliczalną kobietę w futrzanej czapce i starając się zachować bezpieczny dystans. - Masz wobec mnie wielki dług. Ogromny.

ROZDZIAŁ DRUGI

Doktor Aleksandra Sokołowa spojrzała we wsteczne lustro i wydała pełne irytacji westchnienie. Że też spośród wszystkich lekarzy na świecie Dymitr zatrudnił akurat Michaela Morse'a! Była przekonana, że powiedział „doktor Morris” albo „Morrison”, ale faktem jest, że nie słuchała go zbyt uważnie, szykowała się bowiem do wyjazdu na konferencję. Gdyby usłyszała, że chodzi o Morse'a - o doktora Michaela Morse'a...

Cóż, właściwie sama nie wiedziała, jak by zareagowała, ale na pewno zaczęłaby od wyrecytowania długiej listy powodów, z których nie chce pracować z tym człowiekiem. Nie potrafiła zapomnieć o okropnym incydencie sprzed trzech lat.

Był wtedy szefem służb ratowniczych północnego Seattle i wykładowcą w szkole medycznej. Pisał podręczniki z dziedziny ratownictwa medycznego w ekstremalnych warunkach terenowych, jeździł z wykładami po całym świecie. Prowadził też specjalistyczne kursy dla lekarzy - Aleksandra sama taki ukończyła. Ponadto udzielał wywiadów telewizyjnych, dziennikarze zaś uważali go za chodzącą wyrocznie.

Michael Morse zasłużenie cieszył się opinią eksperta. Czemu więc człowiek z jego pozycją miałby podjąć praktykę w liczącym zaledwie pięćdziesiąt łóżek szpitaliku na odludziu? Pracować za śmieszne pieniądze? Zbiera materiały do następnej książki? Znudziło mu się wielkomiejskie życie? Ucieka przed porzuconą kochanką? Chce udowodnić, jaki to z niego skromny człowiek i altruista? U Dymitra może liczyć jedynie na marne lokum, wikt i niewyobrażalnie dużo pracy za pensję, która ledwie pozwala związać koniec z końcem. To zupełnie nie w jego stylu. I czemu musiał wybrać akurat ten szpital, w którym pracuje ona? Nie chciała mieć z nim nic wspólnego, nie po tym, jak ją potraktował.

Znowu zerknęła w lusterko i uśmiechnęła się. Dziecinnie łatwo byłoby go zgubić, wystarczyłoby skrócić w którąś z dawnych dróg pożarowych... gdyby nie te niedźwiedzie. Zachichotała. Na pewno smakowałby im taki wychuchany, wydelikacowany mieszczuch.

Może i splatałaby mu takiego figla, gdyby w Bobrowej Tamie nie czekali na nią chorzy.

Wiadomość od Dymitra zastała ją w Nome, gdzie uzupełniała zapas leków zaraz po powrocie z konferencji medycznej w Juneau. Na Alasce telefony stacjonarne są znacznie bardziej zawodne niż w dużych miastach, komórkowe natomiast często nie mają zasięgu. Poczta pantoflowa sprawdza się tu zawsze. Kolejne osoby przekazują wiadomość drogą telefoniczną bądź radiową, dopóki nie dotrze do kogo trzeba.

W ten właśnie sposób dowiedziała się, że połowa miasteczka ma objawy ostrego zatrucia pokarmowego. Na prośbę Dymitra wróciła cessań do Elkhorn, zostawiła samolot na jedynym pasie startowym i przesiadła się do

dżipa. Wygodniej byłoby dotrzeć do Bobrowej Tamy samolotem, w końcu nie na darmo zrobiła licencję pilota, jednak w pobliżu Tamy nie było lądowiska. Chcąc nie chcąc, pojechała samochodem, choć była zmęczona, a na wieczór zapowiadano opady śniegu.

Spojrzała na niebo i westchnęła. Będzie musiała poczekać do jutra, zanim pozna mroczną tajemnicę Dymitra - kobietę!

Gdy zadzwoniła do niego z Juneau, telefon odebrała kobieta. Kiedy oddała mu słuchawkę, głos miał wyraźnie skrepowany. Może to Irena z Gold Rush? Albo Katerina Szelikow z Nome, która przyjeżdża do Elkhorn odwiedzić wnuczkę? Obie robiły do Dymitra słodkie oczy, jednak Alek była przekonana, że on niczego nie zauważa. Cóż, może w końcu zauważył.

Dymitr był dla niej jak ojciec i cieszyła się, że wreszcie uśmiechnęło się do niego szczęście. Był wdowcem od ponad dziesięciu lat i powinien w końcu zacząć normalnie żyć. Alek nie mogła się doczekać, kiedy pozna jego wybrankę.

- Przy okazji pogadamy o Michaelu Morsie - mruknęła, po czym zerknęła na stalowe niebo.

Był wczesny październik. Wprawdzie zima nie dotarła jeszcze do tego wysuniętego na południe zakątka Alaski, jednak zbliżała się wielkimi krokami, zwiastowana przez coraz częstsze opady śniegu i zamiecie. Alek zawsze czekała na nią z wytęsknieniem, mogła powiem zamienić dżipa na psi zaprzęg. Powożenie nim stanowiło jej jedyną rozrywkę i szczerze żałowała, że w tej chwili nie ma przy sobie swoich psów. Zgubiłyby go, zanim by się obejrzał.

- No, Michael - mruzczała, zerkając w lusterko - to może ja utnę sobie drzemkę, a ty odwalisz za mnie całą robotę? - Uśmieła się na samą myśl. - Tutaj nawet tacy ważniacy jak ty nie mogą liczyć na specjalne traktowanie. Skoro już pan tu jest, doktorze Morse, najlepiej od razu zaprzęgniemy pana do pracy. A potem namówię Dymitra, żeby znalazł kogoś innego.

Poczekala na niego przed następnym rozwidleniem drogi i skręciła w lewo. Musiała znacznie zwolnić, bowiem droga była bardzo wąska i przy-sypana grubą warstwą śniegu. Lubiła ten skrót. Prowadził prosto do Bobrowej Tamy, małej eskimoskiej wioski zamieszkaney przez rzemieślni-ków, traperów oraz kilku rybaków zapuszczających się od czasu do czasu na Morze Czukockie.

Wioska była piękna, cicha i malownicza, a jej mieszkańcy wspaniali. I bardzo pomysłowi, gdy chcieli odwdzięczyć się za darmową opiekę me-dyczną. Przynosili najróżniejsze, rzeczy: ręcznie wyplatane kosze, paciorki, lalki, puchowe kurtki... Wszystko to trafiało następnie do sklepu turystycz-nego w Nome, a zyski ze Sprzedaży zasilaly budżet kliniki, tak więc układ był korzystny dla wszystkich stron.

W końcu zobaczyła zarysy Bobrowej Tamy, niepozornej, liczącej sobie około stu mieszkańców małej wioski, którą przecinała jedna droga, nie as-faltowa, ale z ubitej ziemi, która o tej porze roku zmieniała się w błocko to zamarzające, to odmarzające, to zasypane śniegiem, wzdłuż której tuliły się do siebie małe drewniane domki. Nie było chodników, nie było latarni, lecz mimo to wioska nie sprawiała ponurego wrażenia, bowiem o zmierzchu przed wszystkimi domami zapalały się światła.

Alek dawno tu nie zaglądała. Mieszkańcy tej oraz okolicznych wiosek najczęściej dojeżdżali do gabinetu w Elkhorn, oddalonego o mniej więcej dwie godziny drogi. Do Nome, największego miasta na półwyspie Sewarda, bardziej wysuniętego na południe, jechało się już około sześciu godzin przy dobrych warunkach na drodze. W każdym razie do kliniki Dymitra było po prostu najbliżej.

Zaparkowała przed domem Dinook Duvak, wysiadła i spojrzała na drogę. Na widok drugiego dzipa uśmiechnęła się pod nosem. Niech sobie prowadzi te swoje kursy, niech sobie będzie najlepszy w teorii, jednak praktyka to już zupełnie inna para kaloszy.

Rzecz jasna liczyła się z możliwością, że Michael Morse przyjechał tu w pokojowych zamiarach, jednak wiedziała, że jeśli chce, potrafi dopiec człowiekowi do żywego. Przekonała się o tym na własnej skórze. Ileż nocy przez niego nie przespała! Pomyśleć tylko, że na początku łudziła się, że mogłoby coś między nimi być... Pusty śmiech ogarnia.

- Mdłości, utrata apetytu, skurcze żołądka, podwyższona temperatura, osłabienie, biegunka - wyrecytowała, zanim zdążył wysiąść z samochodu.

- Co proszę...?

- Objawy, doktorze. Opisałam panu objawy. Jaką postawiłby pan diagnozę?

- Raczej nie wygląda mi to na dystrybutor paliwa, niestety - stwierdził cierpko. - Przyjechałem tu po benzynę, a nie na wykłady z objawów zatrucia pokarmowego. Bo zakładam, że właśnie to pani podejrzewa. Widać, że liznęła pani medycyny. Oburzyła się, ale odparła spokojnie:

- Dostanie pan swoją benzynę, jak tylko opanujemy sytuację.

- Czemu miałbym pani pomagać?

- Bo ja pana znam. Chłubi się pan swoją wiedzą, a na mnie czeka pięćdziesięcioro chorych, którzy potrzebują prawdziwego specjalisty. Czy to nie pan powtarza zawsze, że lekarz musi być w każdej chwili...

- Przecież już pani mówiłem, że to zatrucie pokarmowe - przerwał jej.

- A przyczyna? Przerost flory bakteryjnej jelita cienkiego. Albo jakiś pasożyt, na przykład węgorek jelitowy albo włosogłówka. Albo zwykła *Giardia lamblia*, *Entamoeba histolytica* czy *Clostridium difficile*. Ewentualnie niedobór laktazy. Chyba że wszyscy najzwyczajniej zatruli się zakażonym mięsem, łosia choćby. Czy teraz, kiedy wie pani tyle co ja, mogę wreszcie zatankować?

- Niech pan weźmie torbę z lekami i idziemy. Musimy uporać się z dziesiątkami pacjentów, zanim sypnie śnieg. Jeśli dopisze nam szczęście, to śnieżycy zastanie nas już w połowie drogi do Elkhorn. A jeśli nie dopisze? - Wzruszyła ramionami, wyjęła z bagażnika torbę medyczną. - Ugrzęźniemy tu na kilka dni.

Nieco przesadziła, ale było warto, stwierdziła, widząc jego przerażoną minę.

- Pani zdaniem przyjechałem tu leczyć tubylców z biegunki? - spytał chłodno.

- Zakładam, że umiałby pan, gdyby pan chciał, a akurat jest pan na miejscu. I mam przeczucie, że jeśli będzie się pan dłużej wykręcał, chyba zabawię tu kilka dni i zostanie pan bez przewodnika - odparła z ironicznym uśmiechem. - Proszę iść po swoją torbę. To będzie długi wieczór.

- Nie zabrałem torby. Alek zamrużyła powiekami.

- Jak pan sobie zamierza radzić bez leków i bez narzędzi?

- Nijak. Chcę tylko dostać się do Elkhorn. Wiedziała, że jest arogancki, ale w dodatku leniwy?

- Pan Michael Morse, znawca medycyny w warunkach ekstremalnych, tak? Prowadzi pan kursy, na których ciągle pan powtarza, że lekarz musi być przygotowany na każdą okoliczność?

Przecież się nie wyprze. Pamięta te brązowe włosy, teraz może nieco krótsze, niesforny kędziorek nad czołem, te zielone oczy, wokół których przybyło kilka zmarszczek. O pomyłce nie ma mowy.

Po jego twarzy przemknął wyraz rozdrażnienia.

- Moje personalia nie mają tu nic do rzeczy. Chcę tylko...

- Dobrze - przerwała mu identycznym cierpkim tonem. - Jak pan sobie chce, ale bierzmy się wreszcie do pracy. Pan zajmie się domami na północ, a ja tymi na południe.

Bez słowa pomaszerowała prosto do najbliższego domu i zapukała do drzwi. Otworzył sympatyczny staruszek i zaprosił ją do środka. Zanim weszła, obejrzała się jeszcze w stronę Michaela, który wciąż stał na środku drogi i tylko się na nią gapił.

- Kogoś ty zatrudnił, Dymitr? - jęknęła, a potem ułożyła usta w serdeczny uśmiech i weszła do saloniku, w którym czekała gromadka chorych.

- Bóbr - stwierdził lakonicznie Michael, gdy pół godziny później Alek wyszła na ulicę; czekał na nią od dziesięciu minut. - Zatruli się mięsem z bobra. Z okazji obchodów założenia miasteczka Ben Smiling przyrządził

swój słynny na cały świat bobrowy gulasz, a resztę, jak to się mówi, litościwie przemilczmy.

Alek potrząsnęła głową. Nie umiała powiedzieć, co bardziej ją drażni: fakt, iż Michael postawił diagnozę w niecałe pół godziny - w czasie, gdy ona zbadała zaledwie troje pacjentów - czy też ta jego nieznośna pewność siebie.

- A skąd pan to wie, doktorze?

- Pomijając fakt, że rozmawiałem z żoną Bena? Rozmawiałem też z jego sąsiadem i z kobietą o dziwnym nazwisku, Dinook Duvak. Rozumiem, że to ktoś w rodzaju miejscowej znachorki.

- Znam Dinook - wtrąciła Alek.

- Cóż, w pełni się ze mną zgadza. Też próbowała tego bobra i poczuła się źle. - Michael uśmiechnął się leniwie. - Skoro już poznałem tych ludzi i ich dolegliwości, może teraz dowiem się, kim pani jest i dlaczego mnie pani tutaj ściągnęła?

- Nazywam się Aleksandra Sokołow - oznajmiła, ale wyraz jego twarzy nie uległ zmianie. Powtórzyła z naciskiem: - Doktor Sokołow. Doktor Aleksandra Sokołow.

Nie pamięta jej, czy tylko udaje? A może naprawdę zapomniał „nie-douczonej lekarzynę”?

Może dla niego mieszanie kogoś z błotem to chleb powszedni, ale Alek była po prostu w rozpacz. Gryzła się tym, dopóki nie zrozumiała, że Michael Morse to człowiek niezrównoważony. Raz miły, raz najzwyczajniej chamski. To cierpliwy, to z byle powodu wybuchający złością. To łagodny

i opanowany, to znowu furia. A przy tym wszystkim tak cholernie inteligentny i utalentowany, że aż zazdrość bierze.

- Cóż, doktor Sokołow, w innych okolicznościach zapewniłbym, że miło mi panią poznać, ale teraz chcę tylko zatankować i znaleźć się jak najdalej stąd. - Spojrzał w niebo i brwi mu się ściągnęły. - I to jak najszybciej.

Alek podniosła wzrok i także zmarszczyła czoło. Ciężkie chmury mogą oznaczać tylko jedno: początek śnieżycy. „Białe ciemności” w połączeniu z silnymi porywami wiatru, mogącymi bez trudu obrócić jej dziopa, wystarczyły, aby podjęła decyzję o przenocowaniu w Bobrowej Tamie. Zobaczmy, co przyniesie następny ranek oprócz śniegu... i niestety, towarzystwa Michaela Morse'a.

- Nic z tego - stwierdziła, gdy wokół nich zawirowały pierwsze płatki śniegu. - Za późno. Zostajemy tu na noc. Oby skończyło się na jednej.

ROZDZIAŁ TRZECI

- Mój wnuk wyjechał do Anchorage do pracy - powiedziała Dinook Duvak, otwierając drzwi.

Malutki drewniany domek składał się z jednej kwadratowej izby, przytulnej, czystej i wyposażonej w najniezbędniejsze sprzęty. Butla gazo-
wa, prosty drewniany stolik oraz wciśnięte w róg dwa krzesła stanowiły kuchnię. W drugim rogu wnuk Dinook urządził sobie kącik komputerowy. Trzeci, odgradzony zasłonką, pełnił funkcję prowizorycznej łazienki. W czwartym znajdowało się pojedyncze łóżko.

Na środku stał duży piec na drewno, z grubym kominem, którego koniec znikał w suficie. Wszystko ogniskowało się wokół jedyne go źródła ciepła, a powierzchnia mieszkalna była ograniczona do minimum, tak jak w tradycyjnych chatach Eskimosów z plemienia Jupik. Bardzo to praktyczne, ale i bardzo niewygodne, pomyślała Alek. Będzie miała Michaela dosłownie przed nosem. Od razu zrobiło jej się duszno.

- Słabo pani? - zaniepokoiła się Dinook, położywszy na łóżku czystą pościel. - Poprosić tego miłego pana doktora, żeby na panią spojrzął?

- Nie, po prostu jestem trochę zmęczona. A pani jak się czuje?

- Lepiej. W tym roku ledwie spróbowałam tego gulaszu. –

Zmarszczyła nos. - Mówiąc między nami, to nie przepadam za bo-
brzym mięsem. Jadłam, bo po prostu nie chciałam, żeby Benowi było
przykro.

- To miała pani szczęście. Zaraz coś pani dam na te nudności.

Dinook pokręciła głową.

- Nie trzeba. Już się mną zajął przemiły pan doktor. Ma taki piękny
uśmiech. I takie dobre oczy. Będzie z panią pracował?

- Nie, nie będzie - ucięła Alek. - Stał na drodze przed rozwidleniem,
nie wiedział, którądy ma jechać, więc pojechał za mną.

- A to ciekawe. Tak samo poznałam mojego Kaba-looka, z tym że to ja
się zgubiłam. Jechałam z Piruiak do Nome i nagle pojawił się w swojej
furgonetce. - Zachichotała. - Do Nome tego dnia nie dotarłam. Jechałam po
materiał na sukienkę, a wróciłam z mężem.

- Wyszła pani za niego tego samego dnia?

- Potrzebował żony, był przystojny, mówił, że zna się na polowaniu.
Wiedziałam, że nie będziemy przymierali głodem.

Więc bez zbędnych ceregieli wzięli ślub i po latach wciąż są szczęśli-
wi, a wszystko dlatego, że Dinook znalazła się we właściwym miejscu o
właściwym czasie.

Alek pomyślała o Michaelu i potrząsnęła głową. Niewłaściwe miejsce,
niewłaściwy moment i absolutnie niewłaściwy mężczyzna.

- To wspaniale, ale moje plany wobec doktora Morse'a ograniczają się
do...

- Do czego? - odezwał się Michael, stając w progu.

- Niech się dowiem. Wolę być przygotowany. Alek uśmiechnęła się cierpko.

- Do ignorowania pańskiej osoby. Dinook poklepała ją po ramieniu.

- Jak ja mojego Kabalooka... przez całe dziesięć minut. - Spojrzała na Michaela i uśmiechnęła się promiennie. - Może pan tu zostać tak długo, jak tylko będzie pan miał ochotę. I pani też. Lubi pan słodkie bułeczki, doktorze?

- Michaelu - poprawił. - Proszę mi mówić po imieniu, jak wszyscy moi przyjaciele.

Dinook pokraśniała.

- Jeśli lubisz słodkie bułeczki, Michaelu, chętnie upiekę je dla ciebie na śniadanie.

- Uwielbiam słodkie bułeczki - wyznał szczerze.

- Ale proszę nie robić sobie kłopotu. Zwykle na śniadanie wystarczy mi kawa albo herbata.

- Ależ to żaden kłopot, Michaelu. Taki młody mężczyzna potrzebuje z rana czegoś konkretniejszego.

- Mrugnęła do Alek. - Mój Kabalook zawsze miał z rana ochotę. I ma po dziś dzień.

Alek uśmiechała się z przymusem. Nawet nie mrugnęła okiem, gdy Dinook wyszła, nie spytawszy, czy ona też lubi słodkie bułeczki.

- Jak pan to robi? - spytała gniewnie. - Dopiero pan przyjechał, a ona już wokół pana skacze.

Wzruszył ramionami.

- Uśmiecham się. Uśmiech czyni cuda. Powinna pani kiedyś spróbować. Byłaby to przyjemna odmiana po tym hrr... ehm, po tej minie.

- Ta mina znaczy tyle, że na mnie pańskie uśmiechy nie robią wrażenia. - Usiadła na łóżku obok swojego plecaka. - I jeśli pan sobie wyobraża, że odstąpię panu łóżko, to może pan od razu o tym zapomnieć. Nie przekona mnie pan, nie ma szans.

- A szkoda. Mogłoby być całkiem zabawnie.

- Niech pan zabawia kogoś, na kim to robi wrażenie. Przyjechałam tu do pacy, a nie bawić się w jakieś gierki.

Michael przyjrzał się jej z uwagą.

- Jesteś piękną kobietą, Alek, a ja nie zapominam pięknych kobiet. Nigdy. Odnoszę wrażenie, że twoim zdaniem powinienem cię pamiętać, ale zaczynam rozumieć, dlaczego cię jednak nie zapamiętałem.

- Co to ma niby znaczyć?

- A to, że jeśli chcesz dostawać słodkie bułeczki, to musisz sobie na nie zasłużyć, a ty się nawet nie starasz.

Lekko uszczypnął ją w podbródek - wypisz wymaluj jak ulubionego psa - i poszedł do „kuchni” szukać zapalek.

- Tak jak ty zasłużyłeś na tę parkę? - odparła, patrząc na jego nową futrzaną wiatrówkę z kapturem.

- Denerwuje cię to?

- Ty mnie denerwujesz. Nie parka, nie słodkie bułeczki, ale ty. Nie przeszkadzają mi nawet twoje buty - dodała, wskazując ładne długie buty, które zastąpiły białe sportowe adidas, w których widziała go wcześniej, po czym mruknęła: - Oddawaj zapalki.

- Przynieść drewna?

- Jak będę chciała drewna, to sama je przyniosę. Ułożyła na palenisku trzy spore pieńki i przykucnęła przy nich z zapalkami w ręku. Zmarnowała dwie i właśnie wyjęła trzecią, gdy Michael rzekł spokojnie:

- Zakładasz, że nie potrafię rozpać w piecu?

- Jesteś lepszym diagnostą, lepszym lekarzem. Czemu i w tym nie miałbyś być lepszy? - odparła cierpko, wstała i podała mu zapalki. - Proszę bardzo. Rozpal ten cholerny ogień, a ja idę do pacjentów.

- Nie próbowałaś czasem gulaszu Bena? - spytał pół żartem, pół serio, rzucając zapalkę na podpałkę, która zajęła się natychmiast. - Wszyscy opowiadają, jaka z ciebie przemiła osoba, ale ja widzę co innego.

- A mianowicie?

- Widzę kogoś, kto ma mi za złe coś, czego nie zrobiłem, albo nie pamiętam, żebym zrobił.

- Cóż, jeden zero dla ciebie. Och, przepraszam: właściwie to już dwa zero.

Nagle podszedł do niej i ściągnął jej z głowy puszystą futrzaną czapkę.

- Mam dalej zgadywać, czy powiesz mi sama? Co ci takiego zrobiłem? Nie umiem czytać w myślach. Mam rozliczne talenty, ale to akurat do nich nie należy.

- Idź do diabła - wycedziła.

- Czeka mnie noc z tobą w ciasnym pomieszczeniu, a to chyba gorsze niż piekło. Aha, zanim przestaniemy się do siebie odzywać, umówmy się, że podamy chorym metronidazol. Na razie dostali tylko compazine, ale biorąc pod uwagę okres inkubacji, stawiałbym jednak na lambliozę. Więc o

ile nie zgłaszasz zastrzeżeń, proponuję, żebyśmy zaczęli jak przy lamblii. Podamy metronidazol albo jakąś pochodną nitrofuranu. Wśród chorych są trzy ciężarne...

- ... którym nie podamy nic - dokończyła zniecierpliwiona. - Wiem, co robię. Mam certyfikat. Dyplom wydany przez twoją szkołę. Chodziłam do ciebie na zajęcia. Już mnie nie pamiętasz?

- Prawdę mówiąc, to nie, ale wierzę ci na słowo. Alek zabrała swoją czapkę i podeszła do drzwi.

- Idę po furazolidon, jest w dzipie.

- Pomóc ci?

- Potrzebuję mnóstwa rzeczy, ale twoja pomoc do nich nie należy.

- Mam nadzieję, że dla pacjentów jesteś miłsza - stwierdził szorstko - bo jeśli taka jak dla mnie, to wypadaloby ci odebrać dyplom. Jesteś nie-równoważona. Kompletnie nierównoważona. - Uśmiechnął się. - To na swój sposób urocze, ale dla większości pacjentów nie do przyjęcia. Woleliby kogoś sympatycznego, a ta twoja skrzywiona mina zbyt sympatyczna nie jest.

- Po pierwsze, nie widziałeś mnie przy pacjentach. Po drugie, przyślę ci rachunek za naprawę przedniego zderzaka. Nie wgniótłby się, gdybym nie zahamowała w ostatniej chwili, zamiast cię przejechać.

- Mam wrażenie, że nie przypadniemy sobie do gustu - powiedział z ironią.

- W tym całkowicie się z tobą zgadzam. - Wskazała przeciwny róg pokoju. - Twoja strona, doktorze. Będę ci wdzięczna, jeśli spróbujesz się do mnie nie zbliżać.

- Wierz mi, na pewno wybiorę sobie jakieś cieplejsze miejsce, bo od ciebie wprost zionie chłodem.

Kiedy wyszła, zdjął kurtkę i buty. Były tanie jak barszcz, a znacznie praktyczniejsze od tych, które przywiózł z domu przekonany, że po rozmowie z matką zanojuje w jakiś ładnym, ciepłym hotelu, a rano polecą do Anchorage i dalej do Seattle. Skąd miał wiedzieć, że utknie w Bobrowej Tamie, której nawet nie było na mapie, w ciasnej klitce dzielonej z nieobliczalną wariatką. Z całkiem ładną wariatką, która go intrygowała i trochę przerażała.

Chodziła do niego na zajęcia? Całkiem możliwe, ale niektóre dni zwały się w jego pamięci, stały się mgliste i zatarte. Za dużo pracy, za dużo myślenia o karierze, za dużo... Cóż, za dużo wszystkiego.

Cholera, naprawdę usiłował ją sobie przypomnieć. Ona najwyraźniej pamięta go doskonale i aż bał się zgadywać dlaczego. Kolejna ofiara jego wybryków, a i bez niej lista jego ofiar jest aż nazbyt długa.

- Ładna dziewczyna - mruknął. - Piekielnie ładna, szkoda tylko, że i piekielnie szalona.

Wahał się, czy mimo wszystko nie pójść jej pomóc, ale bał się jej reakcji.

- Niech sobie radzi sama - rzekł półgłosem i wyjrzał przez okno.

Na dworze było biało, wiatr wzniewał tumany śniegu i ciskał nimi o ziemię. Może nie była to straszliwa śnieżycza, jakiej można się spodziewać tak daleko na północy, jednak robiła wrażenie. A ta wariatka jest na dworze sama.

- A niech to szlag, Alek - zaklął, wkładając buty i grubą kurtkę. - Nie mogłem wpaść na właścicielkę stacji benzynowej zamiast na upartą jak diabli, przepracowaną lekarzkę, która szczerze mnie nie cierpi?

Wyszedł na mroźne powietrze i pobiegł za Alek.

- Co mam robić? - spytał, zrównując się z nią.

- A kto mówi, że masz cokolwiek robić? Dzięki, poradzę sobie, mimo że taka marna ze mnie lekarka.

- Fatalne jest tylko twoje nastawienie do ludzi. Słuchaj, jest zimno, pada śnieg. Wolałbym teraz leżeć na plaży i grzać się w słońcu, ale skoro już tu jestem, mogę się do czegoś przydać. Jeśli ci pomogę, pójdzie dwa razy szybciej. Więc zamiast się ze mną wyklócać, mów, jak ci pomóc.

- Poradzę sobie, doktorze. Sam mówiłeś, że lekarz musi liczyć wyłącznie na siebie, że często w pobliżu nie ma nikogo, kto mógłby nam pomóc. Umówmy się, że ciebie tu nie ma, dobrze?

Jej głos był chłodniejszy od arktycznego wiatru. Michael pomyślał, że gdyby jej ton był odrobinę bardziej lodowaty, ostatnie zdanie przełamałoby się na pół niczym kruchy sopel lodu i wbiło mu się prosto w serce.

- Pani doktor, to pani wysiadła z dżipa z krzykiem i zaciągnęła mnie do pacjentów. Ja chciałem tylko zatankować i ruszać do Elkhorn, no i proszę, co mnie spotyka. Mimo to wciąż chciałbym pani pomóc. I mógłbym, gdyby pani mi na to pozwoliła.

- Przecież już pan pomógł. Postawił pan diagnozę. Jestem panu bardzo wdzięczna, naprawdę, ale resztą zajmę się sama.

- I z tym dałaby sobie pani radę, gdyby nie czerpała pani takiej przyjemności z rozstawiania mnie po kątach. Co ja takiego zrobiłem? Płacę za grzechy przeszłości, czy teraz się jakiegoś dopuszczam?

- Po prostu pana nie lubię, doktorze. Jasne? Wykładowcą jest pan świetnym, przyznaję, może nawet najlepszym, ale na tym koniec. Jako człowieka pana po prostu nie trawię, nie chcę pana tutaj i ani mi się śni z panem pracować. Po moim trupie.

- Proszę mi wierzyć, mnie się to też nie uśmiecha i z radością wróciłbym gdzieś, gdzie jeszcze są normalni ludzie. To jakiś obłęd, kobieto. Ty jesteś obłąkana. Ale dopóki nie skończy się ta śnieżycą, chcąc nie chcąc muszę tu zostać i zamierzam znaleźć sobie jakieś pożyteczne zajęcie. Więc przestań zadzierać nosa i pozwól sobie pomóc. - Wziął jej z ręki torbę medyczną i wyjął połowę leków. - Tylko sobie nie pochlebiaj, że robię to dla ciebie, bo tak nie jest.

- Jak sobie chcesz. Idź się bawić w doktora, byle z dala ode mnie.

Powiew lodowatego wiatru sprawił, że straciła równowagę i wpadła mu w ramiona.

- Nic ci się nie stało? - spytał, łapiąc ją odruchowo.

Zaskakująco przyjemnie było trzymać ją w ramionach. Spodziewał się, że będzie w dotyku niczym sopel lodu, a było od niej ciepło.

Wyśliznęła się z jego rąk i wygładziła kurtkę. Niepewnie postąpił krok w jej stronę, ale zatrzymała go, opierając mu dłoń na piersi. Ściągnęła brwi i świdrując go wzrokiem, powiedziała spokojnie:

- A co się miało stać? No dobrze, skoro już się uparłeś trochę popracować, zajmij się domami na północ od ulicy, ja wezmę drugą stronę.

- Oszczędzilibyśmy sobie dreptania, gdybyś ty poszła na wschód, a ja na zachód. Może nawet skończylibyśmy, zanim napada śniegu po kolana.

- Wiesz co? Też bym wołała, żebyś był teraz na plaży. Gdybym miała pieniądze, sama kupiłabym ci bilet - oznajmiła, ruszając na zachód.

- Przecież to ja miałem...! - zawołał.

- Wiem - ucięła. - Właśnie dlatego zrobimy odwrotnie.

- Jak mogłem cię nie zapamiętać? - mruknął, brnąc przez coraz grubszą warstwę śniegu.

Ciągle się złościła, lecz mimo to go intrygowała. Nie przypominała kobiet, z którymi miewał romanse i które nudziły mu się po tygodniu czy dwóch. Nie był z tego dumny, lecz tak właśnie było. Całym jego życiem stała się praca i nie zamierzał tego zmieniać, dopóki nie będzie pewny, że już nic nie przewróci jego świata do góry nogami. A Alek... byłaby do tego zdolna.

Nie potrafił jej rozszyfrować, jednak w wybuchach złości, w jej humorach dostrzegał przebłyski autentycznej pasji, która go zachwycała... i której odrobinę jej zazdrościł. Może właśnie to najbardziej go w Alek pociągało. Żyła tak, jak on chciałby żyć, miała w sobie prawdziwą pasję. Przez kilka chwil wyobrażał sobie nawet, że mogliby razem pracować, ramię w ramię.

- O ile akurat byłaby w lepszym humorze. - Zachichotał. W złości była straszniejsza od stada niedźwiedzi.

Ciekawe, czy kogoś ma? Męża, kochanka, przyjaciela? Partnera do sparringu?

Chyba nawet doświadczony bokser nie byłby przy niej bezpieczny. On z pewnością bezpieczny się nie czuł, lecz z niepojętych przyczyn bardzo mu się to podobało.

RS

ROZDZIAŁ CZWARTY

Czuła się straszliwie zmęczona. Wycieńczona. Zziębnięta na kość. I zdruzgotana! Co się z nią dzieje? Kiedy ją objął, było jej niemal... przyjemnie!

Powiesiła czapkę na drewnianym kołku, kurtka zsunęła się i spadła, ale Alek nie miała siły jej podnieść. Michael podtrzymał ją, by nie upadła. Mimo to gdy jej dotknął, poczuła, że przez jej ciało przebiega dreszcz.

Wyjrzała przez okno, ale nigdzie go nie wypatrzyła. To tylko przemęczenie. Przemęczenie i złość. Najwyżej będzie go unikać, pracować w innych godzinach, więcej czasu spędzać w terenie. Parsknęła śmiechem: narysują linię dzielącą gabinet na połowy i biada mu, jeśli choć się do niej zbliży.

Michael Morse w klinice Dymitra. Wciąż nie mogła przywyknąć do tej wizji. Z drugiej strony trzeba myśleć o przyszłości. Dymitr nie staje się młodszy i dlatego zatrudnił trzeciego lekarza, Alek zaś, przy całej swojej niechęci do Michaela, nie zamierzała przysparzać Dymitrowi zmartwień. Owszem, spróbuje go namówić, aby poszukał kogoś innego, może przekupić go solidną porcją bużeniny, niemniej uszanuje jego ostateczną decyzję. To jego szpital i jego wybór. Zresztą Michael nie zagrzeje tu miejsca. Szybko zatęskni za cywilizacją.

Z westchnieniem ściągnęła podwójne skarpety i poruszała skostniałymi palcami; czuła się tak, jak gdyby miały zaraz odpaść. Przysunęła się do ognia i przez chwilę grzała dłonie. Po czterech godzinach dreptania w głębokim śniegu najchętniej zapadłaby w sen zimowy.

Usiłowała nie myśleć o Michaelu, jednak po prostu nie była w stanie. Jego ciepły uśmiech, roziskrzona oczy... Fakt, jest niesamowicie przystojny, ale co z tego?

Byłoby jej łatwiej, gdyby był starszy, pomarszczony jak śliwka i przygarbiony, i miał długą siwą brodę zakurzoną od przeglądania starych ksiąg. Niestety, przypominał raczej gwiazdę rocka, a Alek na równi z innymi kursantkami walczyła o jego uwagę, no, może nieco mniej ostentacyjnie. Za to wiedziała o medycynie ratunkowej więcej niż cała reszta grupy, prowadziła życie, o jakim opowiadał na zajęciach. Zawsze pierwsza podnosiła rękę.

Owszem, jest przystojny, ale niestety podły.

Powinna raczej myśleć o Dymitrze. Kochany Dymitr. On i Olga wychowywali ją od siódmego roku życia, kiedy jej ojciec zginął w wypadku na lodolamaczu, a matka pojechała szukać szczęścia w cieplejszych krajach. Dymitr ją pokochał, Olga tolerowała. Alek uwielbiała pomagać mu w klinice: sprzątała podłogi, odbierała telefony, wypisywała karty pacjentów, jeździła po zapasy leków. Dzięki temu czuła się ważna i kochana - bardziej niż przez ojca, który rzadko bywał w domu, i przez matkę, która nie czuła się w domu szczęśliwa.

Dymitr sprawił, że pokochała medycynę i marzyła o tym, aby kiedyś z nim pracować. Opowiadał, jak będą razem leczyć ludzi, latać samolotem w niedostępne zakątki Alaski. Wszystko to małej dziewczynce, która rozpaczliwie potrzebowała miłości i swojego miejsca w świecie, dawało poczucie bezpieczeństwa.

Olga natomiast zachowywała się chłodno. Nie lubiła dzieci i nie polubiła też Alek, która pewnego pięknego dnia stanęła w progu jej domu uczonej ręki Dymitra, z torbą ubrań i nadziejami na nowy dom i nową rodzinę. Olga zawsze była wobec niej sprawiedliwa. Nie serdeczna i kochająca, lecz właśnie sprawiedliwa, więc to Dymitr stał się całym światem dla osamotnionego dziecka, niezdolnego zrozumieć, dlaczego matka je opuściła, a ojciec umarł. To Dymitr czytał jej bajki na dobranoc, a ona wdrapywała mu się na kolana i ciągnęła go za brodę, kiedy chciała dać mu całusa. Czuli się bezpieczni i już nie całkiem sami na tym świecie.

Alaskę też kochała. Za śnieżne zimy, za morze zieleni w cieplejszych miesiącach, za jej wiecznie zmieniające się piękno i spokój, jaki odnaleźć można jedynie w dziczy. Tu było jej serce, jej dom.

- Chociaż śnieg mógłby być trochę cieplejszy - zaśmiała się, masując zmarznięte stopy.

Wolałaby, aby wyręczył ją jakiś miły mężczyzna, jednak najwyraźniej nie jest to jej pisane. Na Alasce nie roi się od idealnych kandydatów na męża, poza tym miała swoje przyzwyczajenia i nie chciała ich zmieniać.

Zamknęła oczy i rozkoszowała się ciepłem bijącym od kominka. Nagle przed oczami stanął jej obraz rozgrzanej, piaszczystej plaży gdzieś w tro-

pikach. Ona wyciągnięta na trzciniowym leżaku z owocowym drinkiem w dłoni, a obok... No pięknie! Obok Michael wygrzewa się na identycznym leżaku, sącząc też coś pysznego. Na domiar złego, ubrany w skąpe czarne kąpielówki, prezentuje się o niebo lepiej niż ona w wielkiej, wypchanej parce. Gdzieś w tle nagle pojawił się Dymitr i zacmokał z ubolewaniem.

- Nie zachowuj się jak stara malutka, Alek - mówił jej. - Nie bądź taka poważna i drobiazgowa, nie trzymaj się kurczowo swoich przyzwyczajzeń. - Teraz dodałby zapewne: - I naucz się porządnie marzyć na jawie.

- Masz rację, Dymitr. Nawet marzyć nie potrafię. - Westchnęła i padła na łóżko. - Ale to nie szkodzi. Marzenia niczego człowiekowi nie dają.

Przykryła się i leżała wsłuchana w nocne odgłosy: szczekanie psów w oddali, świst wiatru w kominie, grzechotanie drzwi i okiennic, jednostajne buczenie generatora. Michaela wciąż nie było słychać i przy całej swojej antypatii zaczynała się o niego martwić. Miastowy chłopak kontra zimna alaskijska noc! Przed oczami przewinęła jej się seria obrazów: Michael nieprzytomny w rowie, zagubiony w ciemnościach, może osaczony przez stado wilków. Albo jeszcze lepiej: w panice wciągający długie buty i uciekający przed czymś rozwścieczonym mężem. Niechby go przepędził z wioski, pomyślała z lekkim uśmiechem, nie musiałabym z nim pracować. Same plusy.

- W cokolwiek się wpakowałeś, jesteś bez szans, ty mieszczechu - mruknęła, walcząc z ochotą, aby zerwać się z łóżka i biec go szukać.

Wracała do domku przekonana, że zastanie go smacznie śpiącego na „jej” łóżku i prawdę mówiąc, poczuła się trochę rozczarowana, że wciąż go nie ma. Oczywiście nie planowała miłego wieczoru w jego towarzystwie,

pogaduszek przy kominku czy ożywionej medycznej debaty, ale wiedziałyby, że jest bezpieczny, zamiast przewracać się tylko z boku na bok i martwić się, co się z nim stało.

- I puść tu człowieku specjalistę od dziczy w prawdziwą dzicz. Od razu się zgubi, i trzeba go szukać!

Usiadła na łóżku i zastanawiała się, czy nie poczekać jeszcze godzinę: jeśli Michael coś sobie zrobi, musiałyby się nim opiekować. Jeśli się zgubi, musiałyby czekać, aż odnajdzie go ekipa ratunkowa.

I jedno, i drugie nie do przyjęcia.

Zanim się ubrała, na dworze dosypało kolejnych trzydzieści centymetrów śniegu i musiała wrócić po łopatę; śnieg sięgał jej teraz do połowy kolan.

- Nie warto - mruzczała pod nosem. - Nie warto dla takiego marznąć i tracić snu. I lepiej żeby znalazła zwłoki albo „prawie” zwłoki, bo jak słowo daję...

- Pomóc ci? - spytał uprzejmie głos z ciemności.

- Gdzieś ty był? - zapytała oburzona.

Michael brnął w jej stronę, dzierżąc w dłoni jakiś brązowy pakunek.

- Aklanuk Mountain zaprosił mnie na kolację, potem wpadliśmy do Simela Malemute'a. Przesympatyczni ludzie. Bardzo gościnni, nie wypadało odmówić.

- Chodzisz sobie na prozione kolacje, a ja tu czekam i martwię się o... - Umilkła rozdrażniona.

Michael wszedł do domu. Zrobiła to samo, głośno trzaskając drzwiami.

- O mnie? - Obrócił się twarzą do niej. - To chciałaś powiedzieć?

Nigdy bym się tego nie spodziewał.

- I słusznie, bo martwiłam się o nie o ciebie, ale o moich pacjentów. O nikim nie zapomniałaś? Uśmiechnął się i zakołysał papierową torebką.

- Mały prezencik od Alahseeey Malemute. Było jej przykro, że cię nie ma, więc przesyła ci kawałek ciasta.

Alek spojrzała tęsknie na pakunek.

- Pracowałam, Michael - stwierdziła. - Ty też? Czy przez bujne życie towarzyskie nie wystarczyło ci na to czasu?

Alahseeey piekła najlepsze ciasta na świecie. Przepyszne. We wszystkich smakach. Niebo w ustach, a Alek była naprawdę głodna. Oczywiście ją też zapraszano, ale wymawiała się brakiem czasu. Poza tym nie jest taka towarzyska jak on. Michaelowi przychodzi to tak naturalnie, z każdym potrafi się zbratać, a ona wciąż czuła się skrepowana. Strach przed odrzuceniem, jak twierdził Dymitr, może zresztą i słusznie, w końcu odtrąciła ją rodzona matka. Nie przyjmowała zaproszeń, bowiem tak było najłatwiej. I nie pozwoli się ułagodzić kawałkiem ciasta. Ani rozbroić!

- Owszem, w przerwach między rozlicznymi spotkaniami towarzyskimi. Nikt nie wymaga hospitalizacji. Zrobiłem też Benowi Smilingowi małą pogadankę na temat przechowywania i obróbki mięsa. Wstąpiłem potem do Dalakaduk, złamanie pięknie się goi. Kazałem jej więcej ćwiczyć i chodzić na spacer. Za mało się rusza. Postraszyłem ją komplikacjami i poradziłem, żeby zaczęła więcej robić w domu, zamiast wyręczać się dziećmi. Zgodziła się, ale lepiej zajrzyj do niej za dwa tygodnie, bo mam wrażenie, że zrobiła się wygodnicka.

- Sugerujesz, że moje zalecenia były złe?

- Były wręcz znakomite, ale sama mi się przyznała, że nie przestrzega ich zbyt ściśle.

- Więc zaleciłeś jej więcej ruchu, a ona ciebie posłucha. Ot tak? - Alek pstryknęła palcami.

Zdjął rękawiczki i powtórzył jej gest.

- Nie „ot tak”. Jest uparta, wypisz wymaluj jak ty. I też nie słucha przyjacielskich rad.

- To co zrobiłeś?

- Poprosiłem z uśmiechem. I przekupiłem dzieciaki, żeby przestały jej tak bardzo usługiwać. Potem wstąpiłem do Chuga Bucknera. Dalakaduk prosiła, żebym rzucił okiem na te jego haluksy. Chug to jej ojciec, męczy się z nimi od...

- Chuglak, nie Chug - poprawiła Alek.

Zdrobnienia i przydomki zarezerwowane były jedynie dla przyjaciół. Według miejscowej tradycji imię człowieka było czymś, czego nie traktuje się lekko. Wszystko zaczęło się ponad sto lat wcześniej, gdy na Alasce pojawili się osadnicy i zaczęli zmieniać rdzenne imiona na bardziej swojskie i łatwiejsze do wymówienia angielskie odpowiedniki. Wielu tutejszych wciąż nad tym ubolewało.

- Ma na imię Chuglak - powtórzyła chłodno.

- Chuglak, który jednak woli, aby nazywać go Chugiem. W każdym razie mnie poprosił, żebym mówił „Chug”. Aha, i jeszcze wyrwałem Aryehowi Tillionowi ząb. Byłem u niego na prośbę Chuga, to jego kuzyn.

Aryeh miał paskudną zgorzel i spytał, czy byłbym tak miły i wyrwał mu tego trzonowca, co też uczyniłem.

- Wyrwałeś mu ząb? Czym?

Niewiarygodne. Odwiedzała Chuglaka chyba z tuzin razy, ale jej nigdy nie zaproponował, by mówiła do niego per „Chug”. I miesiącami błagała Aryeha, by wreszcie pozwolił wyrwać sobie ten ząb, ale zawsze odmawiał, mówił, że już go nie boli.

- Tym, co miałem pod ręką. Czyli za pomocą kombinerek oraz trzech czwartych litra whisky. Łatwizna. Praktycznie sam wyskoczył, pięknie, z całym korzeniem. A Aryeh wlał w siebie tyle whisky, że pewnie wciąż czeka, aż się wezmę do roboty.

- Tak nie można! Chciałam powiedzieć... jak mogłeś go upić i wyrwać mu ząb? Nawet tutaj obowiązują pewne zasady.

- A co miałem zrobić? Odwrócić się na pięcie i odejść, chociaż błagał mnie o pomoc? - Michael postawił torebkę z ciastem na podłodze i zaczął zdejmować buty. - Nie przyjechałem tu do pracy, pani doktor, ty mnie do niej zagoniłaś, a mimo to wciąż pomstujesz. I biorąc pod uwagę okoliczności, uważam, że cholernie świetnie sobie radzę, więc przestań się ciągle krzywić, dobrze? Albo idź i zrób wszystko sama. Najlepiej zacznij od Anabelle Donawiak - dodał, czubkiem stopy przesuwając ciasto w jej stronę.

- Jeannie, jej czternastoletnia córka, płacze, że brzuch ją strasznie boli. Jajniki. Poradziłem, żeby przyłożyła sobie do brzucha woreczek z lodem i zapowiedziałem, że przyjdiesz rano i wszystko jej wytłumaczysz.

- Bóle jajników? - powtórzyła Alek.

- Owszem. Bóle w dole brzucha, trwające pół dnia, potem miesiąc przerwy. W połowie cyklu. I uprzedzając twoje pytanie: nie, nie badałem jej ginekologicznie. Wystarczyły mi objawy. Annabelle martwiła się, że to zatrucie pokarmowe, ale porozmawiałem z małą. Nie jadła gulaszu, bóle regularnie się powtarzają, więc dośpiewałem sobie całą resztę. Niczego jej nie przepisałem. Obejrzyj ją i zdecydujesz, co dalej.

- Może przy okazji kogoś zoperowałeś? Usunąłeś kamień żółciowy albo wyciąłeś wyrostek? Powinam o czymś wiedzieć? Drobną operacyjką na otwartym sercu, wymiana stawu biodrowego?

- „Zgoliłem” Chugowi modzele, ale to nie tyle operacja, ile raczej prosty zabieg. - Rzucił kurtkę na oparcie krzesła. - Dziękuję, że odśnieżyłaś ścieżkę przed domem. Kilka osób proponowało mi nocleg, ale wolałem wracać tam, gdzie mnie naprawdę nie chcą.

- Uśmiechnął się szeroko. - To pomaga zachować pokorę. Pokorę i skromność.

- A co ty możesz o nich wiedzieć? - fuknęła. Pokora była Michaelowi najzupełniej obca, za to chętnie przypominał innym, gdzie ich miejsce. Jak wtedy na zajęciach. Rzucił: „Ty, tam, w ostatnim rzędzie. Prawda czy fałsz? Przytomnej ofiary z hipotermią nie powinno się prosić o pomoc w akcji ratunkowej”. Co było prawdą, jako że wysiłek fizyczny może doprowadzić do migotania komór, jednak Alek źle usłyszała pytanie i odpowiedziała: „Fałsz”. Michael lekkim tonem poinformował całą grupę, że właśnie zabiła swego pacjenta. „Kategorycznie nie wolno tego robić, bo dostanie migotania komór i umrze. Umrze, bo jakiś niedouczony lekarzyna nie zna procedury”.

- Ale ja myślałam, że pan powiedział „powinno się”, bez „nie”...

- Trzeba było słuchać, to nie byłoby problemu -uciał - a pacjent wciąż by żył. Mam nadzieję, że nauczy się pani słuchać uważniej, bo inaczej dorobi się pani własnego małego cmentarzyka.

Chciała zaprotestować, ale już zmienił temat. Milczała czerwona ze wstydu, a po zajęciach próbowała z nim porozmawiać, ale zmył się, zanim zdążyła mu powiedzieć, co o nim myśli: że jest zwykłą kupą parujących łosiowych odchodów. Najgorsze zaś było to, że potwornie ją upokorzył, lecz mimo to serce żywiej jej zabiło, gdy patrzyła, jak wychodzi z sali. Pocięszała się myślą, że kurs kończy się za tydzień i więcej go nie zobaczy. Gdy następnego dnia pojawiła się na zajęciach, zachowywał się tak, jak gdyby nic się nie stało: uśmiechnął się do niej, a jej głupie serce znowu wariowało.

- Wiesz co, Alek? - Z zadumy wyrwał ją jego głos. - Jesteś za poważna. Szkoda życia na wściekanie się na wszystko. Naprawdę uważam, że z uśmiechem byłoby ci bardziej do twarzy niż z tą kwaśną miną.

- Nie na wszystko i nie zawsze. Tylko kiedy ty jesteś w pobliżu, Michael.

- Cholera, naprawdę chciałbym wiedzieć, czym ci tak podpadłem. Żałuję, że ja też nie mam do ciebie jakichś pretensji, bo przynajmniej byłby remis. A tak masz przewagę. - Uśmiechnął się i mrugnął okiem.

- Jeśli jestem ci winny przeprosiny, chętnie to zrobię, tylko powiedz, czym ściągnąłem na siebie twój słuszny gniew.

- Nie czuję złości, po prostu jestem ostrożna. I wierz mi, mam ku temu powody.

- Stąd ten mars na czole? Nie wyglądasz z nim najpiękniej. Masz takie ładne oczy, powinny błyszczeć, lśnić, ale mam wrażenie, że rzadko to im się zdarza. I wcale nie z mojej winy.

- Nie twoja sprawa.

- Zgadza się, ale to, jak mnie traktujesz, to już jak najbardziej moja sprawa.

- Słuchaj, Michael. Skoro do rana jesteśmy skazani na swoje towarzystwo, może po prostu ustalmy, że dzieli nas różnica poglądów i tak to zostawmy? Nie próbujmy miło gawędzić, kłócić się ani sobie dokuczać, po prostu dajmy sobie spokój!

- To ty wiecznie chcesz się kłócić, a kłócić się samemu to żadna przyjemność. Zresztą nie warto, wierz mi. Życie jest zbyt krótkie, a znam wiele przyjemniejszych rzeczy.

Usiadł po turecku na podłodze.

- Z niektórymi trudno się nie kłócić - stwierdziła Alek półgłosem.

Widziała, że Michael czuje się tu jak u siebie. Pasował do tego miejsca, wszyscy od razu go polubili - i to znacznie bardziej niż ją, choć mieszka tu od zawsze.

- Po co tu przyjechałeś, Michael? - zapytała.

- Po benzynę, jeśli pamięć mnie nie myli. Mężczyzna na opustoszałej drodze, z resztką benzyny w baku. Nagle pojawia się piękna kobieta, która porywa go do malowniczej wioski na końcu świata i proponuje kanister benzyny w zamian za noc namiętności oraz konsultację medyczną. I szczerze mówiąc, chętniej wziąłbym samo paliwo, bez namiętności, atrakcji i

całej reszty. - Przysunął do siebie torbę z ciastem. - Niemniej nie pogardziłbym dobrą kawą.

- Mam ci zaparzyć kawy?

- Chciałbym, żebyś się jej ze mną napiła. Wolę sam ją zrobić. Bałbym się, że czegoś mi dolejesz.

- W szafce chyba jest trochę rozpuszczalnej kawy - oznajmiła, po czym dodała z czystej uprzejmości: - A ciasta jest tyle, że swobodnie starczy dla dwojga.

Zerknęła, na niego, ciekawa, czy na nią patrzy. Zobaczyła uśmiech, który sprawił, że zrobiło jej się ciepło. Przesunęła się za piec; nie chciała stać na widoku.

- Doceniam tę propozycję, choć nie jestem przekonany, czy była do końca szczerą, bo wciąż marszczysz te brwi. Ale i tak zjadłem więcej, niż wypadało. Rozpieszczają mnie tutaj.

- To akurat święta prawda - przyznała cicho. Czerwone policzki, drżący głos... Niedobrze!

- Oczywiście nie powiesz mi, o co ci chodzi, żebym nie mógł się poprawić? - Nappełnił wodą mały blaszany imbryk, postawił go na piecu i usiadł przy Alek. - Mogę spróbować zgadnąć?

- Nie ma czego zgadywać - odparła, odsuwając się w popłochu.

- Jak pomyśle, że mógłbym teraz leżeć na pięknej, gorącej plaży...

Ech! - westchnął. - Na Maui byłoby całkiem miło. Cieplutko. Leżałbym sobie na leżaku i sączył taki tropikalny koktajl z mnóstwem owoców i małą papierową parasolką. No i oczywiście gapiłbym się na dziewczyny w bikini. Inaczej byłaby to zniewaga, prawda?

Roześmiała się wbrew sobie. On stara się być miły i nie może tego nie docenić. W gruncie rzeczy trudno go nie polubić.

- W gapienie się na dziewczyny akurat mogę uwierzyć - odparła powściągliwie - ale ty z małą papierową parasolką? Jakoś nie mogę sobie tego wyobrazić. Bardziej by do ciebie pasował mały plastikowy mieczyk. Siedziałbyś i dźgał różne małe owoce.

Znowu się roześmiała.

- Wolę papierową parasolkę. Człowiek od razu czuje, że jest na wakacjach, robi rzeczy, których normalnie nigdy by nie zrobił.

- Cóż, na Alasce takich parasolek nie uświadczysz.

- Wiem, ale to i tak nie byłoby to samo, parasolka obwieszona małutkimi sopelkami lodu. Pogoda też nie sprzyja paradowaniu w bikini. Bikini i gęsia skórka to nie najlepsze połączenie, moim skromnym zdaniem.

Całkiem przyjemnie się z nim rozmawia, ale mimo wszystko lepiej mieć się na baczności.

- Pomijając parasolki i bikini, po co przyjechałeś na Alaskę, skoro wolałbyś Maui?

- Muszę odnaleźć matkę.

- Zaginęła? - spytała zaskoczona.

- Raczej., jest trochę zagubiona. Przed rokiem zmarł mój ojciec i jeszcze się z tego nie otrząsnęła.

- Współczuję - powiedziała i delikatnie uścisnęła jego rękę. - Potrzeba tyle czasu, żeby pogodzić się ze śmiercią kogoś bliskiego, naprawdę wiem, jak to jest. Byle drobiazg i wracają wspomnienia. A tych drobiazgów jest tyle, że nie sposób przed nimi uciec. Wystarczy znajomy widok, dźwięk,

zapach... - Urwała, przyłapawszy się na tym, że wciąż trzyma go za rękę, i puściła ją gwałtownie. - Szczerze współczuję i tobie, i twojej matce - wyszeptała wpatrzona w ogień. - Jak trafiła na Alaskę?

- Namawiałem ją na rejs statkiem i w końcu się zgodziła. Oczywiście myślałem o tropikalnych morzach, ewentualnie o Morzu Śródziemnym, ale nagle okazało się, że jest właśnie tutaj. Nie znam szczegółów, ale znalazła pracę u kogoś, kto zawrócił jej w głowie i bezwstydnie wykorzystuje fakt, że moja matka jest teraz w żałobie. Straciła męża, z którym przeżyła czterdzieści lat. A ten człowiek wyciąga z niej pieniądze.

- Coś okropnego - odparła Alek z przejęciem.

I nagle zrozumiała, że Michael wcale nie zamierza pracować u Dymitra, że ich spotkanie na drodze było dziełem przypadku, i ogarnęły ją wyrzuty sumienia. W końcu przeszkadza mu szukać matki, która może być w niebezpieczeństwie.

- Strasznie cię za wszystko przepraszam, Michael. Chyba bardzo się co do ciebie pomyliłam.

Uśmiechnął się do niej, zajęty parzeniem kawy.

- Przeprosiny przyjęte - odrzekł, podając jej kubek. - A za co mnie właściwie przepraszałaś?

- Sądziłam, że przyjechałeś tu do pracy. Byłam przekonana, że...

- Że rzuciłem teorię na rzecz praktyki. - Zaśmiał się i pokręcił głową. - Słowo daję, nawet gdybym miał taki zamiar, zmieniłbym zdanie. Porządnie mnie wystraszyłaś.

- Cóż, myliłam się i jeszcze raz przepraszam. Przyślij mi rachunek za konsultację, to...

- Wystarczy mi benzyna - przerwał. - Benzyna, mapka dojazdu do Elkhorn i będziemy kwita. - Spróbował kawy. - Zresztą nie było najgorzej. W innych okolicznościach pewnie byłbym zachwycony. Miejscowi są przemili, poza tym odrobina praktyki zawsze się przyda.

- Ale wolisz miejskie życie? Wzruszył ramionami.

- Przywykłem do niego, ale nie mam nic przeciwko pracy w terenie. To przyjemna odmiana. Gdyby nie to, że szukam matki...

- Która twoim zdaniem jest w Elkhorn? - podchwyciła. Nie przychodził jej do głowy ani jeden kawaler czy wdowiec, który byłby zdolny wykorzystać biedną wdowę. - Jesteś pewny? Znam tam wszystkich i nie mogę uwierzyć, że ktoś mógłby chcieć skrzywdzić twoją matkę.

- Och, jestem pewny. Przysłała mi wiadomość pocztą elektroniczną, że mieszka w miasteczku Elkhorn z jakimś draniem. On nazywa się Dymitr Romonow i też jest lekarzem. Jesteś tutejsza, może go znasz?

ROZDZIAŁ PIĄTY

- Czy go znam? - oburzyła się Alek. - Żarty sobie ze mnie stroisz? Pracuję z nim, w jego szpitalu. I jeśli się nie mylę, niebawem będę pracowała także z twoją matką.

- Rzadko żartuję z tego, że ktoś nadużywa dobroci mojej matki, a właśnie tym się zajmuje Dymitr Romonow. Wykorzystuje jej bezradność. Wierz mi, to nie temat do żartów.

Jego oskarżenia wydały jej się takie niedorzeczne, że nie wiedziała, co powiedzieć.

- To znaczy?

- Skontaktuję się z tutejszą izbą lekarską i zażądam, aby przyjrzeni się jego prawu do wykonywania zawodu.

- Słucham?!

- Ten człowiek uprawia w swoim ośrodku jakieś znachorskie praktyki, ale chyba nie muszę ci tego mówić. Pracujesz u niego.

- Nie u niego, ale z nim. Zechcesz mi wyjaśnić, dlaczego uważasz go za znachora? - spytała podniesionym głosem.

- A jak nazwać kogoś, kto zapalenie płuc leczy wełnianą kamizelką, a „spazmy” noszonym na szyi woreczkiem z asafetydą? Zabobony w najczystszy wydaniu. W dodatku wciąga w to moją matkę...

Alek przygryzła usta. Nie wiedziała, czy się śmiać, czy zacząć na niego krzyczeć. To jakiś absurd, ludowe metody sprzed wieku, z czasów, gdy nie znano leku na choroby płuc. Chorym zalecano noszenie grubej wełnianej kamizelki, którą mieli codziennie skracać o dwa, trzy centymetry; teoretycznie razem z kamizelką miało zniknąć zapalenie płuc. Czasami metoda się „sprawdzała” - gdy choremu było pisane .wyzdrowieć - cud zaś przypisywano kamizelce. Dymitr i Alek traktowali ją jak placebo i niekiedy polecali starszym pacjentom.

Z kolei asafetyda, zwana również „czarcim łajnem” lub „smrodnicą”, była gumowata i miała nieprzyjemny zapach, ponadto sprowadzenie na Alaskę azjatyckiej rośliny, z której można ją uzyskać, stanowiło nie lada wyzwanie. Znacznie łatwiej jest wykupić leki na receptę.

- Ty mówisz o znachorstwie? A kto wyrywa zęby obcęgi? Kto znieczula butelką whisky?

- Działalem niekonwencjonalnie, przyznaję. Ale moja matka naraża się na procesy o błąd w sztuce.

- Narażałaby się na nie, gdyby miejscowi byli skłonni o cokolwiek się procesować, a nie są. Oczywiście tobie wolno leczyć całą wioskę takimi metodami.

- Nie porównuj jednorazowego incydentu ze stylem pracy. W dodatku on jej nie płaci. Ani jednego centa.

- Tak ci powiedziała?

- Jest wolontariuszką.

- Mnóstwo ludzi pracuje za darmo. Wśród lekarzy też zdarzają się altruści. Słyszałeś o Lekarzach bez Granic? O darmowych przychodniach? Nie dla wszystkich pieniądź jest bogiem, Michael. Nie dostajemy tysiąca dolarów za byle konsultację. Może twoja matka uznała, że pora coś zmienić. Ale nie zamierzam się z tobą wyklócać. W końcu jestem tylko znachorką i marną lekarką, która ma swój własny cmentarzyk.

- O co ci, do diabła, chodzi?

- A o to, do diabła, że mylisz się co do Dymitra. I przysięgam: jeśli spróbujesz go skrzywdzić, to...

- To co? Aresztujesz mnie? Słuchaj, moja matka przez rok była w depresji, chociaż jak mi Bóg miły, robiłem wszystko, żeby ją z tego wyciągnąć. A potem pewnego pięknego dnia dostaję maila, że zaczyna nowe życie. Maila. Nawet nie zadzwoniła. Co miałem pomyśleć?

- Może że zaczyna nowe życie? Ze znowu jest szczęśliwa?

- I z tej wielkiej szczęśliwości przestała ze mną rozmawiać, oddzwaniać, odpisywać na maile?

- Słucham cię i wcale jej się nie dziwię. Surowo oceniasz ludzi, Michael. Surowo i krzywdząco, i nawet przez myśl ci nie przejdzie, że możesz kogoś ranić. - Odetchnęła, by ukoić nerwy. - Zostaw ich w spokoju, dobrze? Daj im zająć się pracą, budowaniem związku, czymkolwiek, bo to po prostu nie twoja sprawa.

- Możesz bronić Dymitra, ile chcesz, ale odpowiedz mi na jedno pytanie: dlaczego moja matka wybrała z konta prawie sto tysięcy dolarów, a czek wypisała na jego nazwisko?

Oniemiała. Dymitr nigdy nie wziął dla siebie ani centa.

- Masz dowody na to, że dała mu taką sumę? Michael wyjął z plecaka jakąś kartkę.

- Chcesz faktów? Oto one - rzekł, podając ją Alek. Była to kserokopia czeku wypisanego na Dymitra.

- To niczego nie dowodzi - stwierdziła.

- Owszem, wszystkiego.

Alek oburącz ścisnęła kubek kawy, mając wielką ochotę cisnąć nim w Michaela.

- Dymitr nie wyciągnąłby ręki po cudze. Lepiej dokładnie sprawdź fakty, zanim znów kogoś oskarżysz, bo na dworze mróz, Elkhorn daleko, a coraz mniej dzieli cię od długiego pieszego spaceru.

Poszła się położyć. Najchętniej kazałaby mu się wynosić, ale zrobiło się późno, mieszkańcy wioski najpewniej już śpią, więc nie miałby się gdzie podziać. Czuła dla niego tylko pogardę, lecz mimo to nie miała sumienia kazać mu nocować na dworze.

- Bronisz Romonowa, ale to nie zmienia faktu, że na jego konto trafiła duża część oszczędności mojej matki. Ślepa lojalność jest godna podziwu, ale niekoniecznie mądra, Alek - dodał.

- Odezwał się mądrała! Rozłożył ręce na znak kapitulacji.

- Ejże, moja pani. Ja chciałem tylko zatankować. Sadzę, że kiedyś sprawiłem ci przykrość. Może gdybym to pamiętał, wiedziałbym również, co zrobiłaś, żeby mnie do tego sprowokować. Niestety, nic nie pamiętam i nie zamierzam cię przeproszać, bo tylko nazwałabyś mnie hipokrytą. Zrobiłem w życiu wiele rzeczy, których później żałowałem, ale nie będę prze-

praszał za to, że chce chronić swoją matkę. Jeśli to zaszkodzi twojemu Dymitrowi, to trudno. Zrobię, co będę musiał.

Doszła do wniosku, że nie warto mu odpowiadać. Ludzie tego pokroju nie umieją słuchać.

- Ostrzegam cię. Jeszcze jedno słowo na Dymitra i będziesz spał na dworze.

Położyła się twarzą do ściany i nakryła wełnianym kocem. Chce do Elkhorn? Doskonale: dostanie benzynę, mapkę i niech sobie jedzie. Im później tam dotrze, tym lepiej. Może dałoby się jakoś odwlec ten moment, zatrzymać go na trochę w Bobrowej Tamie. Tylko jak?

W tej samej chwili usłyszała irytujący chichot.

- Słucham? - odezwała się gniewnie.

- Zastanawiałem się, jaka jesteś w łóżku. Założę się, że przy takim temperamencie nie musisz się bać długich, zimnych nocy.

Przez dziesięć minut przewracała się z boku na bok. Domyślał się, że jeszcze nie powiedziała wszystkiego na obronę swojego drogiego Dymitra, stąd to wiercenie się, stąd te westchnienia.

- Chcesz coś dodać? - odezwał się. - Wszczęć następną kłótnię? O coś mnie oskarżyć? Wyrazić swoje zdanie, zaprotestować, obrzucić mnie wyzwiskami?

- Będziesz ty cicho? - mruknęła. - Próbuję zasnąć.

- Nic dziwnego, że nie możesz. Łóżko strasznie skrzypi! - rzekł ze śmiechem.

Większość kobiet mu nadskakiwała, choć nie uważał się ani za wybitnie przystojnego, ani za wybitnie brzydkiego, ot, gdzieś pośrodku. W każdym razie nie narzekał. Nie był nudziarzem ani człowiekiem przesadnie ekscentrycznym, do krezusów także nie należał - pracował w państwowym szpitalu, a nie w prywatnym gabinecie - ale najzwyczajniej miał szczęście do kobiet.

Kiedy skończył trzydziestkę, znudziło mu się takie życie, randki, umizgi, stare przyzwyczajenia. Całodniowa harówka, całonocne hulanki - wszystko to zaczęło go nużyć, miał poczucie, że coś traci, czegoś wciąż mu było brak. Nie wiedział dokładnie czego, niemniej dotychczasowy styl życia ewidentnie mu się przejadł, rodził problemy, które zaczęły rujnować mu życie. Zapragnął zmian.

Zaczął wracać do domu na wieczorną herbatkę. Może kto inny powiedziałby, że to nudziarstwo, ale jemu to odpowiadało. A kiedy zaczynała dokuczać mu samotność, brał nadgodziny i po sprawie.

Aleksandra Sokołowa byłaby zdziwiona. Przecież uważa go za potwora.

- Kiedy chodziłaś do mnie na ten kurs?

- Trzy lata temu. W lecie. Aż się skulił.

- Może mimo wszystko powinienem cię przeprosić. Nie byłem wtedy w najlepszej formie. Problemy osobiste - rzekł oględnie; w tamtym okresie w jego życiu trwała prawdziwa rewolucja.

- Nie byłeś w najlepszej formie? - powtórzyła cierpko. - Delikatne określenie.

- Wszyscy miewamy gorsze chwile.

- O tak, chociażby ja teraz. Nie chcę twoich prze prosin, doktorze Morse. Nie są nic warte. Bądź wreszcie cicho i daj mi spać.

Kiedy natrętny gość po raz piąty zapukał do drzwi, Alek pogodziła się z myślą, że jednak musi wstać. Podniosła się ciężko i spojrzała na Michaela, który albo spał jak suseł, albo po mistrzowsku markował sen, po czym podeszła do drzwi. Bała się otworzyć - nie przeszkadzało jej zimno, nie przeszkadzał jej śnieg, lecz myśl, że sprawa może zakończyć się wizytą u chorego.

- Doktor Alek? - odezwał się cienki głosik z dworu.

Otworzyła i ujrzała małą dziewczynkę w grubej kurtce. Twarz miała opatuloną szalikiem, tak że widać było tylko okrągłe, wystraszone oczy.

- Noora?

Noora Eyinck mieszkała z rodzicami około dwóch kilometrów od Bobrowej Tamy. W taką noc, w środku śnieżycy, trudno taką drogę pokonać takiemu berbeciowi.

- Mama jest chora - oznajmiła dziewczynka. - Nie chciała pani prosić, ale strasznie ją boli brzuch i tak ciężko oddycha.

- Od dawna ją boli? - spytała Alek.

- Od kolacji. Myślała, że samo przejdzie. Babcia próbowała jej pomóc. Nie boli przez cały czas, ale jak już boli, to okropnie.

- Znasz ją? - odezwał się Michael. - Ma owrzodzenie żołądka albo refluks?

- Pierwsze słyszę. Chodzi na szczepienia, pilnuje, żeby rodzina Regularnie się badała, i na tym koniec. Sama na nic się nie skarżała.

- Gulasz z bobra - mruknął Michael. - Dłuższy okres inkubacji. Rzadko, ale się zdarza. - Spojrzał na dziewczynkę. - Mama jadła bobra Bena Smilinga?

- W tym roku u niego nie byliśmy - odparła Noora. - Mama była zmęczona, a tata wypłynął na połów.

- Pójdę do niej - odparła Alek, biorąc Noorę za rękę. - Wie, że tu jesteś?

Pewnie nie. Pani Eyinck nie puściłaby dziewięcioletniego dziecka samego w środku nocy. Eskimosi to bardzo opiekuńczy rodzice.

- Nie, proszę pani. Wymknęłam się, jak przyszła babcia. Słyszałam, że jak ktoś jest strasznie chory, to pani przychodzi i daje lekarstwo, po którym jest lepiej. Pomyślałam, że do mojej mamy też pani przyjdzie.

- Podeszła do pieca ogrzać ręce. - Mamusia mówi, że jak poczuje się lepiej, to dostanę małego braciszka albo siostrzyczkę do zabawy. Nigdy nie miałam ani siostrzyczki ani brata, a bardzo bym chciała.

Alek i Michael wymienili zdumione spojrzenia.

- Jest w ciąży? - spytał Michael, ubierając się i łapiąc torbę z lekami.

- Nie zawsze zwracają nam głowę takimi błahostkami - wyjaśniła ironicznie Alek, wkładając kurtkę.

- Co innego gulasz z bobra, ale poród? Po co. W tych grubych kurtkach wszyscy wyglądają tak samo. Mogę patrzeć na którąś i nie mieć pojęcia, że jest w dziewiątym miesiącu. Poprowadzisz, mieszczechu? Dasz sobie radę ze śniegiem?

- W Seattle też pada śnieg. To nie jest alaskijski wynalazek.
- Udowodnij to - odparła, rzucając mu kluczyki.
- Tylko uważaj na niedźwiedzie. Nie lubią, kiedy jakiś mieszczuch budzi je w środku zimy.

Noora zachichotała.

- Tu nie ma niedźwiedzi - szepnęła do Alek. - To znaczy są, ale w lesie, rzadko przychodzą do wsi.

- Ale nie musimy o tym mówić pewnemu mieszczuchowi - odszepnęła rozbawiona Alek.

Noora podniosła na Michaela ogromne oczy i znowu zachichotała.

- Tu są wielkie niedźwiedzie, panie mieszczuchu.
- Rozłożyła ręce. - O takie. I mają wielkie zębiska.
- To może lepiej ty poprowadź? - zażartował, rzucając dziewczynce kluczyki.

Zanim Alek z Noorą dotarły do dżipa, brnąc w głębokim śniegu, Michael siedział już w środku, rozparty na tylnej kanapie.

- Chyba masz prawo jazdy, Noora? - spytał z powagą. - Aha, tylko omijaj wertepy, żebyś nie wjechała do rowu jak doktor Alek.

- Nie mam! - pisnęła Noora. - Jestem jeszcze mała. Ale tatuś pozwala mi czasem poprowadzić pług śnieżny. - Rzuciła Michaelowi kluczyki. - Musisz sam prowadzić.

- Ja? A te niedźwiedzie? - Pokręcił głową. - To nie jest dobry pomysł. Jeszcze wjechałbym na takieeeeego misia. - Rozłożył dłonie szerzej niż

przed chwilą Noora. - Chyba z tyłu będę bezpieczniejszy, a ty radź sobie z tym potworem.

Odrzucił jej kluczyki. Noora wdrapała się do dżipa i usiadła Michaelowi na kolanach.

- A ja poszczuję go na ciebie, mieszczechu - zachichotała.

- A jeśli będzie chciał mnie zjeść i zobaczy ciebie? Nie boisz się, że ciebie też będzie chciał schrupać?

Równocześnie spojrzeli na Alek.

- Chyba padło na ciebie - oznajmił, podając jej kluczyki. - To jedno-głośna decyzja. Ty prowadzisz, a my się chowamy. Tylko uważaj na niedźwiedzie!

Podróż była krótka, za to bardzo wesoła. Alek była ciekawa, z czego tak chichoczą, ale musiała uważać na drogę. Michael demonstrował sztuczki magiczne, wyciągał dziewczynce monetę zza ucha i ukrywał ją w dłoni, a potem śmiał się równie głośno jak Noora. Może mimo wszystko nie jest taki zły, pomyślała Alek.

- Uwaga, niedźwiedź polarny! - zawołał nagle, chowając się za fotelem i pociągając za sobą Noorę.

- Tutaj nie ma polarnych niedźwiedzi - zaśmiała się dziewczynka, ale wyjrzała przez okno, aby upewnić się, że nic się do nich nie podkrada. Świecił księżyc, wszędzie leżało mnóstwo śniegu i na dworze było całkiem jasno.

Noora rozejrzała się, po czym dała Michaelowi znak, że już jest bezpiecznie.

- Jeśli to nie niedźwiedź polarny, to co to było? - spytał, patrząc na nią zza fotela.

- Zajączek! Aleś ty niemądry - chichotała Noora, rozkładając rączki, aby pokazać, jakie zające są malutkie i niegroźne.

- Sądziś, że bałbym się takiego chucherka? - Udał, że robi groźną minę. - Małego, maciupkiego zajączka? Mówię ci, to był miś polarny!

- Albo drzewo - zaśmiewała się Noora. - Wielkie drzewo, które wygląda zupełnie jak niedźwiedź.

Uniosła ręce i zaryczała, Michael natychmiast poszedł w jej ślady. I udawali polarne niedźwiedzie, dopóki Alek nie zaparkowała przed domem Noory.

- Oprócz mamy i babci ktoś u was jest? - zapytała.

- Nie. Tylko babcia i ja. Och, i jeszcze mój nowy braciszek albo siostrzyczka, jeśli mama lepiej się poczuła.

- Ktoś powinien porozmawiać z Noorą o kwiatkach i pszczołkach - skomentował Michael, przyglądając kurtkę, za którą ciągnęła roześmiana dziewczynka.

- Zgłaszasz się na ochotnika? - spytała Alek z uśmiechem, patrząc, jak Michael usiłuje wysliznąć się z uścisków Noory. Co za urocza, sielska scenka.

- Chyba zdam się na jej matkę... albo na ciebie. Alek parsknęła śmiechem.

- Tchórz.

- Widzisz? Już drugi raz jesteśmy tego samego zdania.

- Jak ty to robisz, Michael? - westchnęła Alek, patrząc na Noorę, która objęła oburącz jego nogę.

Podniósł dziewczynkę i delikatnie wziął ją pod pachę.

- Co?

- To - odparła, wskazując roześmiane dziecko. - Znasz ją od paru minut, a już masz wielbicielekę.

- Dzieci mnie lubią, zwierzęta mnie lubią. Większość dorosłych też.

- Nie aż tylu, ilu sądzisz. Pochlebiasz sobie.

- Czyżbym wyczuwał nutkę wrogości? A już myślałem, że się polubimy.

Alek zastukała do drzwi i obróciła się twarzą w jego stronę.

- Wrogości? Nie. Ot, taka refleksja. Nie polubimy się, Michael. Nie polubimy się, dopóki nie przestaniesz oczerniać Dymitra. To wystarczający powód.

- Mam nie być uprzedzony wobec Dymitra, chociaż ty jesteś uprzedzona do mnie? Czy to aby nie podwójna moralność? Ty masz prawo do swojego zdania, a ja nie?

- Na temat Dymitra jak najbardziej!

- To już mam dwa grzechy na sumieniu. O jednym wiem, o drugim nie chcesz mi powiedzieć. Ale wiesz co, Alek? Źle się stało, jeśli sprawiłem ci przykrość, nie powinienem był. A Dymitr źle robi, wykorzystując moją matkę, i dłużej mu na to nie pozwolę.

Umilkł, bowiem właśnie otworzyły się drzwi, po czym serdecznie przywitał się z Mamie Igliak, babcią Noory. Zanim Alek zdążyła się odezwać, została na ganku zupełnie sama: drzwi zamknęły się jej przed nosem.

- Nie dziwię się twojej matce - mruknęła, wchodząc do małego drewnianego budynku. - Gdybyś był moim synem, nawet Alaska byłaby dla mnie zbyt blisko.

Gdy zajrzała do sypialni, Michael był już przy Kitty Eyinck i mierzył jej puls. Mamie wpatrywała się w niego miłośnie, oczy jej błyszczały jak zakochanej nastolatce, ale Alek przyjęła to bez zaskoczenia. Michael Morse każdego potrafi oczarować... Oczywiście oprócz niej.

- Skurcze? - spytała. - W jakich odstępach?

- Co minutę - odparł. - Mamie mówi, że coraz częściej i są silniejsze. Kitty jest w dziewiątym miesiącu.

- Zebrałeś wywiad w dziesięć sekund? - spytała cierpko, wyjmując jednorazowe rękawiczki.

Michael parsknął śmiechem.

- Wystarczyło pięć. I drugie pięć, żeby ustalić, że Kitty wolałaby syna i że jeśli rzeczywiście urodzi się chłopczyk, dostanie tradycyjne imię, może Niyak, po nieżyjącym mężu Mamie. Niyak Igliak Eyinck.

Alek tylko pokręciła głową.

- Może ja na nią spojrzę? Chyba że zbadać ją też już zdążyłeś?

Uśmiechnął się do Kitty i trzymał ją za rękę, dopóki nie skończył się kolejny skurcz, potem spojrział na Alek.

- Wiesz, jak ślicznie wyglądasz, kiedy się złościysz?

- Że też cię nie przejechałam, kiedy miałam okazję - westchnęła, odkrywając Kitty, i szybko ją zbadała.

Mały Eyinck bardzo się śpieszył na ten świat.

- Mamie, przyjmie pani poród, czy mam... Alek nie chciała urazić Mamie, która zapewne doskonale poradziłaby sobie sama, jednak Mamie zaśmiewała się w najlepsze z czegoś, co przed chwilą powiedział Michael. Może wyciągnął jej monetę „z ucha”, jak wcześniej Noorze, pomyślała kwaśno Alek. Tak czy inaczej Mamie machnęła tylko ręką i pobiegła do kuch-ni zaparzyć Michaelowi kawy... albo upiec mu ciasto, albo przyrządzić smakowitego burgera z łosiowym mięsem.

- Przyj, Kitty. Jak tylko nastąpi skurcz, zacznij znowu przeć.

- A teraz przestań przeć - odezwał się Michael, kiedy pokazała się główka.

Wciąż siedział przy Kitty, trzymał ją za rękę i ocierał jej pot z czoła. I jakimś cudem to wystarczało, aby Kitty była spokojna. Kolejna z jego magicznych sztuczek, a pewnie ma ich w zanadrzu całe mnóstwo.

- Dziecko musi się trochę obrócić, a potem doktor Sokołow odessie wydzielinę z ust i nosa twojego synka, żeby mógł swobodnie oddychać.

- To chłopiec? - wyjęczała Kitty, usiłując się podnieść.

- Jeszcze nie wiem, całego go nie widziałem, ale założę się, że to chłopak. I to duży.

Alek niecierpliwie potrząsnęła głową, usiłując wymacać pępwinę.

- A ja się założę, że raz na dwa razy udaje ci się zgadnąć.

- Albo i częściej - odparł z uśmiechem, potem znowu zwrócił się do Kitty: - Możesz teraz przeć. Pora, żebyś zobaczyła swojego synka.

Reszta porodu przebiegła błyskawicznie. Niewiele później Alek przecięła pępwinę i położyła noworodka na brzuchu Kitty.

- To chłopiec - rzekła, gdy dziecko zaczęło kwilić.

- Michael - szepnęła Kitty. - Michael Niyak Eyinck.

- Michael? - powtórzyła osłupiała Alek.

Kitty wodziła rozczulonym spojrzeniem od małego Michaela do dużego Michaela. Po chwili pojawiła się Mamie z kawą. Podała Michaelowi kubek i poprosiła, by usiadł w fotelu - był to honor zarezerwowany dla pana Eyincka, odtąd zaś najwyraźniej dzielony z panem Morse'em.

- Dałaś dziecku na imię Michael?

RS

ROZDZIAŁ SZÓSTY

- Struli się gulaszem Bena Smilinga - oznajmiła Alek, tupiąc, aby strząsnąć śnieg z butów.

Zbliżał się wieczór, Alek wiedziała, że ma coraz mniej czasu do przyjazdu Michaela, więc mówiła szybko:

- Dałam im leki, a przy okazji odebrałam poród Kitty Eyinck, ma synka, zbadalam nastoletnią dziewczynkę z wioski, no i jestem. - Wpadła w wyciągnięte ramiona Dymitra i uściskała go mocno. - Jak dobrze być w domu. Najpierw konferencja, potem zakupy, a na koniec wyprawa do Bobrowej Tamy. Czuję się, jakbyśmy się nie widzieli całe lata.

- Dobrze, że wróciłaś. - Potrząsnął głową. - Zawsze wiedziałem, że Ben ich kiedyś otruje. Ciagle mu powtarzam, że to niejadalne paskudztwo. Mięso bobra jest wstrętne i śmierdzi. Nie to co bużenina - dodał z rozmarzeniem.

- To raczej nie jest tradycyjne eskimoskie danie - zaśmiała się Alek. Dymitr mieszkał na Alasce, żył wśród Eskimosów, lecz pozostał Rosjaninem z krwi i kości. - Ben Smiling nigdy by jej nie użył do swojej sławetnej potrawy.

- Dlatego kiedy ją gotuje, trzymam się od Bobrowej Tamy z daleka.

- No to zamieniam się w słuch, Dymitr. Co to za pani, która odbiera twoje telefony? To ta nowa lekarka? Ma miły głos. - I syna potwora, dodała w duchu.

- Jest miła - odparł po chwili. - Tak, to ta nowa lekarka.

Człowiek, który uwielbia mówić, nagle odpowiada monosylabami?

- Miła i...?

- Ładna. Och, i mądra. Lubi czytać, słucha muzyki poważnej. Czajkowskiego.

Chyba łatwiej byłoby namówić Aryeha, by pozwolił jej wyrwać sobie zęb, niż wyciągnąć informacje z Dymitra. I głos mu się od razu zmienił, mówił ciszej, spokojniej, takim tonem, jakim rozmawiał z Olgą.

- Nie bądź taki tajemniczy, Dymitr - poprosiła. - Od dawna jesteście...

- Urwała. - Jak się poznaliście, co was łączy? Chyba nie tylko miłość do Czajkowskiego?

- Internet. Przez cztery miesiące pisywaliśmy do siebie. Poznaliśmy się na czacie dla lekarzy. Rozmawialiśmy o różnych rzeczach... o starzeniu się, stracie kogoś bliskiego, problemach w pracy. Czują się zagubiona i...

- Zaprzyjaźniliście się?

- Coraz więcej czasu spędzaliśmy na czacie, potem przez jakiś czas pisaliśmy do siebie maile. Wreszcie zaczęliśmy do siebie dzwonić. W zeszłym miesiącu widziałem się z nią w Vancouverze. Pamiętasz, pojechałem obejrzeć nowe aparaty rentgenowskie?

Aleks roześmiała się serdecznie.

- Nawet się dziwiłam, że mnie tam nie posłałeś. Wiem, że nie znosisz takich imprez. No i nie przywiozłeś ani jednej ulotki.

Skrzywił się, a potem spoważniał.

- Ona straciła męża, ja żonę. Szukała nowej pracy, ja pracownika. Ona ma syna, ja ciebie... I oboje jesteście lekarzami. Mamy bardzo dużo wspólnego. Znacznie więcej nas łączy, niż dzieli.

- Więc kiedy przyjechała tu do ciebie, szybciotko wysłałeś mnie na konferencję. Chciałeś spędzić z nią trochę czasu?

- Chciałem, żeby poczuła się jak w domu - odparł. - Zresztą tobie taki wyjazd też dobrze zrobi. Martwię się, że za dużo pracujesz, żyjesz jak od-ludek. Posłałbym cię na tę konferencję bez względu na przyjazd Maggie.

Parsknęła śmiechem.

- Wyrzucasz mnie z domu?

- Dla twojego dobra.

- Dla swojego chyba też. - Wspięła się na palce i ucałowała go w policzek. - Cieszę się twoim szczęściem, Dymitr. Zaczynał się z ciebie robić straszny ponurak, całe szczęście, że masz Maggie. Widać, że wam ze sobą dobrze.

Cmoknęła go w drugi policzek i odsunęła się.

- Ponurak! - zagrzemiał. - Mnie nazywasz ponurakiem? Nawet za kolejnych siedemdziesiąt lat nie będę w połowie taki ponury, jak ty teraz. Chcesz zobaczyć prawdziwego ponuraka? Spójrz w lustro. - Uśmiechnął się, a jego krzaczasta siwa broda śmiesznie zadrgała. - Strasznie się cieszę, że ona tu jest, Alek. Przez całe dni pracujemy razem, a wieczorami...

- Czy ja na pewno chcę to usłyszeć? - zażartowała, biorąc go za rękę i razem weszli do jej domu.

- Jest dla mnie dobra. I wcale nie mówię o tym, o czym myślisz. Nie żeby pan w pewnym wieku nie doceniał tych spraw, bo oczywiście docenia, i to bardzo. Po prostu miło mieć kogoś przy sobie. Brakowało mi tego, a Maggie wypełniła tę pustkę. Pochlebiam sobie, że ona też uważa mnie za przyjaciela.

- Maggie? - Zawiesiła głos, czekając na nazwisko.

- Maggie Morse. Przez dwa lata opiekowała się mężem, który umierał na raka, a teraz, po jego śmierci, chce znowu pracować, ale nikt jej nie zatrudni ze względu na wiek. To inteligentna i błyskotliwa kobieta, a przy tym znakomita lekarka, jedna z najlepszych, z jakimi miałem zaszczyt pracować. Zaproponowałem jej posadę. Dobrze się u nas czuje, pacjenci od razu ją pokochali.

Wypisz wymaluj jak jej syna mieszkańcy Bobrowej Tamy, pomyślała Aleksandra. Widziała, jak Dymitr rozpromienia się, gdy mówi o Maggie, i nie zamierzała pozwolić, aby Michael wszystko zepsuł.

- Cieszę się, że przyjechała. - Jeszcze nie poznała Maggie, lecz już zdążyła ją polubić. - Cieszę się, że wszedłeś na tamten czat - dodała, uśmiechając się ponownie. - Zasłużyłeś na odrobinę szczęścia.

- Na pewno? Bo jeśli to dla ciebie problem, to...

- Nawet tak nie mów - przerwała łagodnie. - Naprawdę cię cieszę, słowo.

- Znam cię jak nikt - przypomniał. - A w twoich oczach widzę coś zupełnie innego.

- Nie martw się o mnie.

- Martwię się nie bez powodu. Wiesz, co mam na myśli.

Wiedziała: jej problemy z samą sobą, ale z biegiem lat radziła sobie z nimi coraz lepiej.

- Wszystko jest w porządku, po prostu jestem trochę zmęczona.

- No dobrze, skoro tak, to może kogoś poznałaś na tej konferencji?

Masz nowego kolegę? Chłopaka?

Alek usiadła po turecku na kanapie.

- Tuzin sprzedawców gotowych zaprosić mnie na wino i kolację, za ledwie usłyszeli, że planuję większe zakupy. Kilku lekarzy, którzy rzucali się do ucieczki w chwili, gdy wspomniałam, gdzie pracuję. Najwyraźniej dziewczyny z Alaski nie cieszą się wzięciem. Och, i jeszcze menedżer hotelu. Chyba było mu mnie żal, bo ciągle podsyłał mi małe koszyki z owocami, takie dla jednej osoby. - Roześmiała się. - Nie, Dymitr. Nikogo nie poznałam, ale i za nikim się nie rozglądałam.

- A powinnaś - stwierdził surowo. - Przecież ci mówiłem: na początku dobrze się rozejrzyj.

- A jak myślisz, stąd te próbki nowego leku na zgagę? I na obniżenie poziomu cholesterolu? Warto go wypróbować. I znalazłam też lepszy zestaw do iniekcji dożylnych niż ten, którego używamy teraz. Aha, i jeszcze...,

- Ponurak - orzekł Dymitr. - Wysyłam cię na konferencję, wszyscy dobrze się bawią, a ty co? Zajmujesz się zestawami do iniekcji. - Pokręcił głową i przegarnął włosy. - Załamujesz mnie, Aleksandro. Jaka dziewczyna mieszka sama, za całe towarzystwo mając stado psów, i jest zadowolona z życia? - Pocałował ją w czoło. - Maggie jest teraz w szpitalu, ale wiem, że bardzo chciałaby cię poznać.

- Którą zmianę mam wziąć?

- Przyjdź na rano. Dzisiaj jest Mariska, Maggie wzięła wieczorną zmianę, ja jestem na dyżurze, więc mamy obsadę na noc.

Mariska tu pracowała, odkąd Alek sięgała pamięcią. Wprawdzie nie skończyła szkoły pielęgniarstwa, podobnie jak druga Eskimoska Eyanna, lecz razem praktycznie prowadziły szpital i były wprost niezastąpione, a umiejętnościami nie ustępowały najlepszym dyplomowanym pielęgniarcom. Pomagała im rzesza wolontariuszy - mieszkańców okolicznych wiosek, chcących zrewanżować się za darmową opiekę medyczną. Układ był niecodzienny, ale sprawdzał się znakomicie.

- A wstąpiłeś do mnie, żeby podrzucić mi zakupy? Rozumiem, że mam ci coś ugotować? Zapraszam was oboje na kolację. O ile nie macie innych planów...

- Mrugnęła znacząco. - Oczywiście zrozumiałem.

- Miałbym wzgardzić twoją kuchnią? - Sapnął z oburzeniem. - Zamierzam spędzić wieczór w towarzystwie dwóch pięknych dam, najeść się po same uszy, najlepiej czegoś pysznego, na przykład pielmieni - oznajmił rozmarzonym tonem, po czym spojrzał na Alek. - Myślę, że Maggie tu zostanie. To jeszcze nic pewnego, powinienem był wcześniej o tym wspomnieć, ale nie wiedziałem, czy się zgodzi. Było mi trochę niezręcznie.

- Cieszę się, Dymitr - odparła szczerze. - Wiem, że ją polubię. Ale musimy pomówić o... - Nie, nie teraz, kiedy Dymitr jest taki szczęśliwy. Posłała mu całusa i mruknęła: - Później pogadamy. Wracaj do swojej pani, zanim sobie znajdzie innego przystojnego rosyjskiego doktora.

- Tyle o tobie słyszałam! - wykrzyknęła godzinę później Maggie, obejmując Alek serdecznie. - Cieszę się, że nareszcie mogę cię poznać. Dymitr nie może się ciebie nachwalić.

Alek wpatrywała się w nią bez słowa. Taki sam czarujący uśmiech, identyczne lekko kędzierzawe brązowe włosy, krótko przycięte, bez jednej nitki siwizny. Piękna kobieta, urocza, pełna życia, nic dziwnego, że Dymitr jest nią oczarowany.

- O tobie nie chciał mi prawie nic powiedzieć - odparła, mrugając do niego.

- Zaraz to naprawimy - oznajmiła Maggie, przytulając się do Dymitra i patrząc na niego z czułością. - Mam nadzieję, że zostaniemy przyjaciółkami. Obu nam zależy na tym samym mężczyźnie.

Alek umiała rozpoznać prawdziwą miłość. Dymitr i Olga także się kochali, jednak ich miłość trwała od zawsze i zdążyli się do niej przyzwyczaić. Ta miłość była tak młodziutka i świeża, że aż brała ją zazdrość.

A Michael zamierza taką piękną miłość zniszczyć.

- Na pewno się zaprzyjaźnimy - zapewniła z przekonaniem. - Może lepiej nakarmmy już tego naszego ubóstwianego mężczyznę? Mamy piełmieni, draniki, sałatkę ze świeżych warzyw i...?

- Czyżbym widział oładki z dynią?! - Na widok pulchnych racuchów Dymitr aż się oblizał. – Moje ulubione danie! Czy to próba przekupstwa? Zaczynam się bać...

- Zrobiłeś mi zakupy, no i bardzo się za tobą stęskniłam - odparła Alek, delikatnie ściskając jego rękę.

- W takim razie powinnaś częściej wyjeżdżać.

- Tu takie pyszności, a ja przypalam nawet wodę na herbatę - zaśmiała się Maggie, gdy przeszli do kuchni i usiedli przy stole. - Biedny Michael... Mój syn - wyjaśniła, spoglądając na Alek. - Niestety, rzadko mógł liczyć na ciepłą kolację. Nie umiem gotować i raczej za gotowaniem nie przepadam. Mój mąż miał jeszcze mniejsze zacięcie do kucharzenia. Michael musiał się nauczyć gotować, i całe szczęście. Gdyby nie on, żywilibyśmy się wszyscy wyłącznie kanapkami. Michael jest świetnym kucharzem.

- Podobnie jak moja Aleksandra. - Dymitr promieniał. - A lekarką jeszcze lepszą. Tak jak twój Michael.

- Dobrze się składa - stwierdziła roześmiana Maggie. - Ja już jestem za stara na eksperymenty w kuchni. Kanapki, jedzenie z restauracji, zupa z puszki... Po śmierci męża i wyprowadzce Michaela to mi wystarczało. Tylko gdzie ja tu zamówię coś na wynos?

- Zawsze podzielę się z tobą puszką zupy - oznajmił Dymitr i mrugnął do Alek. - O ile nie zdołam namówić Aleksandry, żeby coś dla mnie upichciła.

- Czyli jak zwykle pojawisz się u mnie akurat w porze posiłku - zaśmiała się Alek. - Na szczęście gotuję jak dla całej armii, bo Dymitr jest w stanie pochłonąć tyle co ona. Oczywiście ty też jesteś zaproszona - zwróciła się do Maggie. - Nawet jak jestem poza domem, w lodówce zawsze się coś znajdzie. Nie zamykam drzwi na klucz, przychodźcie śmiało i się częstujcie.

- Wychowałeś przemiłą młodą damę - rzekła Maggie.

- Wspaniałą młodą damę - poprawił Dymitr. - I na szczęście dla mnie, wspaniałą kucharkę.

Gdy Alek podawała do stołu, Dymitr opowiadał Maggie o jednej ze swoich rozlicznych przygód za kołem podbiegunowym. To, jak daleko na północ miała mieć miejsce owa historia, zależało wyłącznie od humoru Dymitra.

- Dryfowaliśmy na jednoosobowej tratwie, we trzech na Jim River.

Alek uśmiechnęła się: była to jedna z jej ulubionych historyjek.

- Niedźwiedzi nie było widać, ani jednego. Za to pojawiła się wielka stara kłępa, której wyraźnie wpadłem w oko. Szła za nami brzegiem i wodziła za mną rozkochanym wzrokiem, a nie ma nic bardziej przerażającego od samicy łośa, której zebrało się na amory. Już wolałbym rozjuszonego niedźwiedzia.

Kolacja się udała. Alek dowiedziała się dwóch rzeczy: że Michael jest chirurgiem, a rzekoma bezradność jego matki jest mocno przesadzona. Maggie okazała się przeciwieństwem osoby, o jakiej jej opowiadał.

- Może chodziłaś do niego na kurs, Alek - odezwała się nagle Maggie.

- Słucham...?

- Mówię o moim synu, Michaelu. Prowadzi wykłady w Seattle.

Dymitr mówił, że kilka lat temu chodziłaś na kurs ratownictwa. Może na niego wpadłaś, albo i wręcz chodziłaś na jego zajęcia? Nazywa się... Ktoś załomotał do drzwi. Alek opadły ręce.

- Mam otworzyć? - spytał Dymitr.

- Broń Boże! - wykrzyknęła Alek, zrywając się z krzesła. - Siedź i jedz kolację. Ja się tym zajmę.

- Jestem dzisiaj na dyżurze - stwierdził Dymitr, nadziejąc na widelec pulchny pierożek. - W szpitalu są dwie pielęgniarki, ale jeśli potrzeba lekarza...

Pobiegła do holu, żałując, że nie ma gdzie ukryć Maggie i Dymitra, zanim Michael wtargnie do środka, awanturując się i piekląc. Ostrożnie uchyliła drzwi i wyjrzała.

- Alek - rzekł zaskakująco cywilizowanym tonem.

- Michael - odparła zdławionym głosem.

- Nie wpuścisz mnie? Jest zimno jak w psiarni, przejechałem kawał drogi. Chyba jesteś mi coś winna za małe opóźnienie, które mi zafundowałaś.

- Nie - stwierdziła dość stanowczo. - Nie mogę cię zaprosić. Nie dzisiaj. Może jutro.

Próbowała zamknąć mu drzwi przed nosem, ale był szybszy.

- Zamierzam u ciebie przenocować - oznajmił. - Jak zapewne wiesz, w Elkhorn nie ma hotelu. Pytałem o ciebie w szpitalu i łaskawie podali mi twój adres.

- Nie mam pokoju gościnnego, ale w szpitalu są pokoje dla personelu. Podjadę tam i sama to załatwię.

- A ja wolę co innego, Alek. Gościnę w twoim domu. Jesteś mi coś winna - oznajmił niskim głosem.

W końcu odwzajemniła jego spojrzenie. Oczy miał zmrużone, ale lśniły w nich iskierki. Alek zadrżała, lecz tym razem nie z zimna.

- Szukasz matki? Jest tam, gdzie chce być.

- Czyli u ciebie, tak?

- Je kolację.

- A mnie nie zaprosisz? - spytał z niemalże uwodzicielską miną.

Musiała sobie przypomnieć, że to Michael Morse. Spodziewając się wybuchu złości, mocniej ścisnęła klamkę.

- Nie. Nie jesteś zaproszony. To dorosła, inteligentna kobieta, a ty mówisz o niej jak o dziecienniejszej staruszce.

- Ukrywasz ją przede mną? - Parsknął śmiechem, szczerze rozbawiony. - Doceniam twoje dobre chęci, ale zdania nie zmienię. Dzisiaj śpię u ciebie.

- Pozwól jej chociaż spokojnie zjeść, zanim wtargniesz do kuchni i przyprawisz ją o niestrawność. Potem, o ile będzie chciała cię widzieć, powiem jej, że zastanie cię w szpitalu. W zamkniętym pomieszczeniu bez klamek.

Wprawdzie nie mieli oddziału psychiatrycznego, jednak uznała, że zabrzmiało to bardziej przekonująco.

- Ciągle mi czymś grozisz - powiedział przekornie.

- Idźże już, zanim te groźby zrealizuję. Uśmiechnął się, wcale nie przestraszony.

- Tym bardziej wolę zabrać stąd moją biedną matkę. Nie utrudniajmy sobie tego. Wpuśćże mnie wreszcie.

- Świetnie. Rób, jak chcesz. Ale uprzedzam cię, Michael: twoja matka jest tutaj szczęśliwa i na pewno z tobą nie wróci.

- Michael! Wydawało mi się, że słyszę twój głos - ucieszyła się Maggie, wchodząc do holu.

- Przyszedł cię porwać - mruknęła Alek. Maggie zaśmiała się głośno.

- Zawsze był nadopiekuńczy. Zwłaszcza od śmierci ojca. - Ucałowała Michaela w oba policzki, potem spojrzała na dziewczynę. - Obiecuję ci, Alek, nie dam mu się porwać.

Alek wróciła do stołu.

- To Michael Morse - oznajmiła posepnie. - Chciałam cię uprzedzić, ale byłeś taki szczęśliwy, że po prostu nie miałam serca.

- Mów - poprosił spokojnie Dymitr.

- Był ze mną w Bobrowej Tamie. To nie jest miły człowiek, Dymitr. Chce stąd zabrać Maggie, bo jest przekonany, że ty... Ze ona nie dojrzała do następnego związku.

- Michael próbuje ją chronić, tak jak ty próbujesz chronić mnie? O to tu chodzi?

- Mniej więcej, z tym że marnie mi to idzie. Poznałam go trochę. Wiem, że to syn Maggie, że jest świetnym lekarzem, ale myślę, że będzie z nim problem.

- Z którym, twoim zdaniem, sam sobie nie poradzę?

- Którego w ogóle nie powinno być. Słuchaj, może wyjdiesz tylnymi drzwiami? Spotkasz się z nim innym razem. Teraz jest zły jak osa.

- To twoja sprawka?

Alek zaśmiała się bez przekonania.

- Chyba można tak powiedzieć.

- Alek, nie zamierzam uciekać przed synem Maggie - odrzekł, podnosząc się z krzesła. - Ale zastąpię ją w szpitalu, żeby mogła spędzić z nim resztę wieczoru. Aha, tylko znajdź mu jakieś lokum, dobrze? Oddałem

Maggie wolną sypialnię. Gdyby nie to, chętnie gościłbym go u siebie. Zaopekuj się nim. Niech się tu poczuje jak w domu. - Mrugnął do niej. - Daj mu pielmieni.

- Po co?

- Żeby mu pokazać, że oprócz urody masz inne zalety.

Kiedy wyszedł, Alek usiadła przy stole. Pielmieni to za mało, żeby ułagodzić Michaela Morse'a.

- Gdzie Dymitr? - zdziwiła się Maggie, wchodząc do kuchni z Michaeliem.

- Zastąpi cię w szpitalu - odrzekła Alek, zerkając na niego ukradkiem; uśmiechał się z nieprzeniknioną miną. - Skosztujesz pielmieni, Michael?

- Pójdę mu pomóc - oświadczyła Maggie. - Michael, nie daj się prosić, siadaj do stołu. Pielmieni takie, że palce lizać. Alek świetnie gotuje. Na pewno będzie ci smakowało. Później pogadamy. - Od progu dodała jeszcze:

- Aha, i musisz poszukać sobie noclegu, może Alek coś ci poradzi.

- I co, aresztujesz mnie? - odezwał się, gdy zostali we dwoje.

- Jeszcze nie zdecydowałam - odparła, patrząc na jego masywną sylwetkę. - Nie rób tego. Nie zmuszaj matki do wyjazdu.

- Ale mam prawo próbować. I spróbuję.

- Dymitr jest dla niej ważny.

- Sama się oszukuje, ale jej przejdzie, jak wyjedzie z Alaski.

- Nie wyjedzie stąd. Tu ma pracę i Dymitra, tu jest szczęśliwa. Chcesz jej to wszystko odebrać? - Alek odsunęła się od stołu. - Poczęstuj się pielmieni. I drani-kami, i sałatką. Zjedz wszystko. Obyś się udławił!

- A ty pójdziesz szukać nowej kryjówki dla mojej matki?

- Pójdę ją zastąpić, żeby mogła pobyć z Dymitrem. To ich ostatnie wspólne chwile, skoro uparłeś się ich rozdzielić - wycedziła i wyszła.

- Nalegam - powtórzyła Alek. - Muszę kiedyś wrócić do pracy, więc czemu nie teraz?

- A Michael? - spytał Dymitr, zdejmując fartuch.

- Mam nadzieję, że udławił się kolacją!

- Rozumiem twoją wrogość, ale mam wrażenie, że nie chodzi tylko o problemy między mną a Michaelem. Odkąd wróciłaś, jesteś wiecznie nie w sosie. Marudzisz, a to do ciebie niepodobne.

- Nie lubię go, Dymitr. Nie lubię Michaela Morse[^]. Nie lubiłam go, kiedy chodziłam na jego zajęcia w Seattle, i nie lubię go teraz. Nie zamierzam robić z tego wielkiego halo, bo to syn Maggie. Nie chcę jej sprawiać przykrości. Obiecuję, że zrobię wszystko, żeby się nie dowiedziała, że nim gardzę.

- Mówisz o Michaelu z taką niechęcią, że to aż podejrzane.

- Wierz mi, mam swoje powody.

- No nie wiem, ale na pewno bardzo cię interesuje?

On jest nieobliczalny. W jednej chwili doktor Jekyll, w drugiej pan Hyde. Najgorsze, że nigdy nie wiadomo, którego się spodziewać. Wiem, że Maggie opowiadała ci o nim coś zupełnie innego, ale matka to matka. Zawsze będzie chwalić syna.

- Ale skąd w tobie tyle emocji, Alek? Czemu przejmujesz się kimś, kto za kilka dni wyjedzie? - Uśmiechnął się pod nosem. - Olga na początku mnie nie znosiła. Opowiadałem ci? Uważała mnie za zarozumiałego krzy-

kacza, zresztą pewnie słusznie. I kłóciła się ze mną... Boże, jak ta kobieta się ze mną wyklócała!

- To czemu się pobraliście?

- Rodzice zaaranżowali nasze małżeństwo i zmusili nas do ślubu.

Alek była zaskoczona.

- Ile czasu minęło, zanim... zdołaliście się jakoś porozumieć?

- Lubię mówić, że to się stało w noc poślubną, ale prawda jest taka, że nie wpuściła mnie do sypialni. - Zarechotał. - Była taka sprytna, że nie

dość, że zamknęła drzwi na klucz, to jeszcze zabiła okiennice gwoździami.

Ale rano wypełniła żonine obowiązki... -Widząc minę Alek, dodał szybko:

- Śniadanie! Zrobiła mi śniadanie, a ja ją pochwaliłem, chociaż było

okropne. Przypalone grzanki, półsurowa jajecznica. I pierwszy raz się do

mnie uśmiechnęła. Potem pochwaliłem ją za obiad i za następne śniadanie.

I za to, że tak pięknie posprzątała w domu i ułożyła włosy. Trochę to trwa-

ło, ale w końcu zostaliśmy przyjaciółmi i zaczęliśmy ze sobą rozmawiać.

Chodziliśmy na spacer. A potem przyszła miłość.

- Jaki jest morał tej opowieści? - spytała, choć znała odpowiedź: Dymitr bawi się w swata.

- Nie ma morału. Chciałem, żebyś wiedziała, że miłość różnie się zaczyna.

- Mylisz się, miłość nie ma tu nic do rzeczy.

- Cóż, ostatnio widziałem cię w takim nastroju, kiedy wróciłaś z Seattle. Wyglądałaś wypisz wymaluj jak teraz... Jakbyś mogła z gołymi rękami ruszyć na niedźwiedzia. I biada mu, biada!

- Działa mi na nerwy.

- Może problem polega na tym, że nie dałaś mu szansy. Ale kiedyś powiesz mi, o co tu naprawdę chodzi?

- Nie ma o czym mówić.

- Nigdy nie umiałaś kłamać, Alek. - Obejmując ją, dodał: - Zawsze taka dzielna i zbuntowana. Zawsze wysoko nosiłaś głowę, mimo że tyle wycierpiałaś. I zawsze gotowa stawić czoło światu, bez łez, bez słowa skargi. Ale nie można wiecznie walczyć. Prędzej czy później każdy musi złożyć oręż i opuścić tarczę.

RS

ROZDZIAŁ SIÓDMY

W szpitalu było cicho jak makiem zasiał.

Każdy szpital, mały czy wielki, ma swój unikalny rytm - niektóre wydają się nigdy nie zasypiać, ruch wrze w nich dwadzieścia cztery godziny na dobę, inne ożywają dopiero nocą. Szpitalik Dymitra budził się nad ranem i przez cały dzień pracował w jednostajnym leniwym tempie - bez pośpiechu, bez gorączkowej krzątaniny, bez nerwowości. Wszystko według planu: drobne operacje, badania, diagnostyka, rutynowe zabiegi, zastrzyki, zmiany opatrunków.

Wieczorem szpitalik wyraźnie zwalniał. Do chorych przychodziły rodziny i znajomi, kończono ostatnie badania, opuszczano rolety w oknach i przygaszano światła. Może dlatego Alek najbardziej lubił przebywać tutaj właśnie o tej porze, sama prosiła o nocne dyżury. Współgrały z jej własnym rytmem. Oczywiście, należało pamiętać i o tygodniach, gdy słońce świeciło i o północy, a dzień nie miał końca, oraz o miesiącach, gdy to noc nie chciała się skończyć, a wszyscy wyczekiwali pierwszego bladego brzasku dnia. I te dni, i te noce, także pokochała. Teraz, gdy noc i dzień niemal się zrównały, najbardziej czekała na tych kilka godzin przed świtem.

Dzisiaj mieli pod opieką zaledwie dziesięciu pacjentów: jednego z owrzodzeniem żołądka, na obserwacji, jednego z migreną, dwie osoby z

nieżytnymi żołądka oraz trójkę małych pacjentów na oddziale dziecięcym, z trudnościami w oddychaniu. Pozostałą trójkę Dymitr zostawił w szpitaliku, choć właściwie nie było takiej potrzeby. W pewnym sensie praktykował medycynę na starą wiejską modłę - uważał, że odrobina życzliwości i opieki potrafi zdziałać cuda.

- Pomóc? - zagadnęła Mariskę, która śpieszyła na oddział dziecięcy, aby opatulić małych pacjentów do snu, dać im ciastka i opowiedzieć bajkę na dobranoc.

- Dzisiaj jest spokojnie - odparła Mariska. - Dwójka pacjentów jeszcze gra w szachy w poczekalni, jeden ogląda telewizję. Reszta już leży w łóżkach, czyta albo śpi. Tylko dzieciaczki domagają się bajki. - Podała Alek ciastko. - I tego.

- Dziwisz się im? - odparła Alek z uśmiechem, spróbował ciasteczka. - Też bym się domagała.

Mariska, grubokoścista kobieta o kruczoczarnych włosach ściągniętych w ciasny węzeł, miała w sobie coś z generała, gdy maszerowała szpitalnym korytarzem, lecz miękła niczym wosk, gdy ktoś prosił o ciasteczko albo o bajkę. A prosiły nie tylko dzieci.

- Nie zmieniłaś się, Alek. Już jako mały berbec przychodziłaś do mnie żebrać o ciasteczka.

- I zawsze jedno czy dwa dostałam. Mariska parsknęła śmiechem.

- Inaczej nie dałabyś mi spokoju. Już wtedy byłaś uparta.

- Cóż, i dalej jestem. A teraz przejdę się po oddziałach, a potem zajrzę do gabinetu Dymitra zrobić porządek z kartami. Dymitr ma wstręt do biurokracji. Wszystko byle nie wracać do domu, do Michaela.

- Uciekasz przed mężczyzną, który jest u ciebie w domu?

- Dlaczego myślisz, że jest u mnie jakiś mężczyzna? Pomijając fakt, że w Elkhorn wieści rozchodzą się

w tempie błyskawicy?

- Musisz mieć jakiś powód, skoro chcesz się wziąć za karty Dymitra. Pewnie chodzi o mężczyznę, którego przywiozłaś sobie z Bobrowej Tamy. O przystojniaka, który niedawno o ciebie pytał.

- Sam za mną przyjechał.

- Ale że jest przystojny, nie zaprzeczysz. A ty się chowasz za papierkami. - Zacmokała z ubolewaniem. - Noce na Alasce są długie i zimne, a papierki cię nie ogrzeją, Alek.

- Po to mam piękny wełniany koc.

- Jesteś uparta. A z wiekiem wady się pogłębiają. Martwimy się o ciebie. Czasami wyglądasz na taką nieszczęśliwą...

- Wcale nie jestem... - Zamilkła, a potem zmusiła się do uśmiechu: - Dostanę jeszcze jedno ciasteczko?

Dwie godziny później połowa kart była już uzupełniona. Alek wyłączyła lampkę na biurku i położyła się na kanapie w gabinecie. Naturalnie we własnym łóżku byłoby wygodniej, ale jeśli Michael wciąż u niej jest, musiałyby z nim rozmawiać, a nie miała na to ochoty. Wiedziała, że strategia unikania go nie sprawdzi się na dłuższą metę, ale nie miała lepszego pomysłu.

Do czego to doszło? Przyjechał po matkę, a jest sam, w cudzym domu, i zmywa głupie gary po kolacji, której prawie nie tknął, a matka z Dymi-

trem, którego nawet nie miał okazji poznać, jest Bóg wie gdzie i robi Bóg wie co.

- A ja zeszkrobuję zaschnięte resztki placków ziemniaczanych - mruknał, pochylony nad zlewem.

I nie była to jedyna niespodzianka: wbrew temu, czego się spodziewał, matka wyglądała na szczęśliwą. Nie uśmiechała się tak od dnia, gdy usłyszała o chorobie ojca. Może jednak powinien poznać tego jej Dymitra. Może Alek ma rację.

Tak. Pomówi z nim i spróbuje wybadać, co to za człowiek. Zostanie tu o dzień dłużej.

Zerknął na drewniany zegar ścienny. Dla takiego nocnego marka pora wciąż była wczesna.

- Co oni tu robią dla rozrywki? - mruknał, ciskając fartuch w kąt i opuszczając podwinięte rękawy.

Wyjrzał przez okno, lecz oprócz jednego z psów Alek nie było widać żywej duszy. Reszta psów pewnie też kręci się w pobliżu okna, bo wcześniej rzucił im pielmieni. Może czekają na oładki, pomyślał, ale nie doczekają się, bo te akurat dojadł sam.

Ma się u niej rozgościć? Wyobraził sobie minę Alek, gdyby po powrocie zastała go w swoim łóżku.

- Aha, a potem spałbym w psiarni, razem z wami - mrucał pod nosem, patrząc na zwierzęta czekające pod oknem, zgasił światło i przeszedł do salonu.

Na pewno ma praktyczną białą pościel, a szkoda, bo w różowej byłoby jej do twarzy. Niemalże widział jej czarne włosy rozsypane na różowej poduszce. Piękny obrazek.

Może mimo wszystko rzuci okiem na jej pościel. Czując się jak złodziej, zakradł się do jej sypialni i zajrzał pod kapę. Biała pościel, rzecz jasna, tylko co tak pachnie? Lawenda?

- No, no, Alek. Cóż za ekstrawagancja.

Uśmiechnięty wrócił do salonu, rozmyślając o tym, jak przyjemnie byłoby wyciągnąć się w tej białej pościeli, pachnącej lawendą i Alek. Miał aż za dużą ochotę, by się o tym przekonać. Wyszedł na dwór.

Rześkie powietrze podziałało na niego jak zimny prysznic. Przespace- rował się ulicą i zawrócił. Dziesięć minut później stał przed schodami szpi- tała, bijąc się z myślami. Alek nie chce go widzieć, co czyniło pomysł zło- żenia jej wizyty jeszcze bardziej kuszącym. Złościła się tak ładnie, że było w tym coś niemal... seksownego. Może gdyby poznali się kiedy indziej, w innych okolicznościach...

Jego uwagę zwrócił cień w narożnym oknie. Ktoś tam jest. Postać była niewyraźna, ale to na pewno Alek. Nie widział jej, ale czuł, że to ona. Wszedł i zaczął szukać narożnego gabinetu.

Szpitalny korytarz był ciemny i opustoszały, ale z głębi niosły się gło- sy: dziecięce śmiechy, rozmowy dorosłych, dźwięki z telewizora. Stał przed drzwiami i zastanawiał się, co jej powie. Chciał zapukać, ale się rozmyślił i otworzył drzwi, a potem stał w progu i czekał, aż oczy mu się przyzwyczają do ciemności.

Nie widział jej, ale czuł jej obecność. Co się ze mną dzieje, do cholery?
- pomyślał. Co się ze mną dzieje?

Alek go widziała: stał w otwartych drzwiach na tle plamy światła.
Odezwie się? A może ona powinna coś powiedzieć? Lepiej czekać czy podejść się przywitać?

Doświadczała przedziwnej mieszanki emocji -niepewności i czegoś jeszcze, co bała się nazwać, bowiem na przekór wszystkiemu wciąż ją pociągał. Nigdy dotąd nie myślała o żadnym mężczyźnie w taki sposób jak o Michaelu. Pociągają. Oczywiście to tylko chwilowe zwycięstwo hormonów nad rozsądkiem.

Problem w tym, że ta „chwila” trwała znacznie dłużej, niż powinna. Serce biło jej jak oszalałe, trudno jej było oddychać. Naturalnie powodem mogła być złość, w końcu wciąż jest na niego wściekła. Bardzo.

- Pamiętam cię - oznajmił cicho. - Właściwie to nigdy cię nie zapomniałem, raczej próbowałem wyrzucić cię z pamięci razem z tym naprawdę niewesołym okresem w moim życiu. Czasem łatwiej jest nie pamiętać. Dawnych uczynków, ludzi, których się skrzywdziło, nie pamiętać o nich i żyć dalej.

- Jakiej reakcji się spodziewasz? Wdzięczności? Zapewnienia, że to już nieważne? Nie jestem ci wdzięczna. Tamto wciąż mnie boli i to wciąż jest dla mnie wielka sprawa.

- Niczego nie oczekuję. Tamtego dnia... - Głos mu się załamał. - Przepraszam cię, ja naprawdę nic nie pamiętam.

- Zabawne, cierpisz na wybiórczą amnezję? Raz mnie pamiętasz, raz nie. Pamiętasz, co mi wtedy powiedziałeś, potem nic nie pamiętasz.

Zaśmiał się gorzko.

- To nie amnezja. To narkotyki.

Alek aż wstrzymała oddech.

- Co?

- Narkotyki. Amfetamina. Nie mam wytłumaczenia. Po prostu się uzależniłem. Dzień był za krótki na to, co chciałem zrobić, a jak już zrobiłem, zostawało za mało godzin na sen. Musiałem z czegoś zrezygnować, i zrezygnowałem z myślenia. Bo doskonale wiedziałem, co robię. Tabletka rano, żeby się rozkręcić, tabletka wieczorem, żeby zasnąć. Aż dziw, jak człowiek łatwo się przyzwyczaja. Natychmiastowy przyływ energii, kiedy najbardziej jej potrzebujesz, i błyskawiczny sen.

Oszukujesz się, że to już ostatni raz i że nigdy więcej. Ale to nigdy nie jest ostatnia tabletka, zawsze są następne. Następnego dnia znowu bierzesz, i znowu. A może dwie, skoro jedna tak świetnie działa? Większa dawka energii, głębszy sen. Zanim się obejrzyysz, potrzebujesz jednej ekstra... w środku dnia, żeby się rozbudzić. Tłumaczysz sobie, że akurat masz strasznie dużo pracy. Może nadgodziny w szpitalu, dodatkowy kurs, więcej wywiadów, kolejna książka. I piekło, jakim jest świadomość, że na detoks trafiają ludzie, którzy biorą połowę tego co ja. Ale oczywiście ja nie mam problemu. Mogę w każdej chwili to rzucić. Racja?

- Michael, tak mi przykro... Wtedy, na zajęciach...

- Strasznie cię za to przepraszam. Tabletki, stres... Dowiedziałem się, że ojciec ma raka i coś we mnie pękło. Nie zachowałbym się tak, gdybym nie był na-ćpany. To nie byłem ja. To narkotyki.

- Ale już z tego wyszedłeś?

- Tak - odparł cicho. - Nie było łatwo, bo byłem przekonany, że jestem taki silny. Silniejszy niż wszyscy inni. Ale kiedy budzisz się na głodzie i potrzebujesz tabletek bardziej niż powietrza, nagle zdajesz sobie sprawę, jak bardzo jesteś słaby. Nie byłem święty. Nie chciałem się leczyć, nawet wtedy. Wmawiałem sobie, że to tylko metoda radzenia sobie ze stresem, że nie jestem chory. Wymówki. Kiedy człowiek jest uzależniony, ciągle szuka wymówek. Rzuciłem to dopiero rok temu. Powinien był to zrobić znacznie wcześniej.

- Zrobiłeś to dla siebie? Nikt cię nie zmusił?

- Dla siebie. Żeby móc znowu pracować. Sam się w to wplątałem, Alek, i sam musiałem się z tego wyplątać.

Nigdy dotąd nikomu o tym nie opowiadał. Po prostu któregoś dnia poszedł do kliniki odwykowej.

- Parę razy sięgnąłem dna, zanim zacząłem szukać pomocy. Wiem, co ci wtedy powiedziałem, bo nagrywałem wszystkie wykłady na potrzeby projektu, nad którym wtedy pracowałem. Odsłuchałem kasetę... I spędza mi to sen z powiek.

- Mnie też kosztowało to wiele, nieprzespanych nocy.

- Boże. Przepraszam cię, Alek. Nie dziwię się, że tak mnie nie lubisz.

Uwierz mi, przeprosiłbym cię wcześniej, gdybym cokolwiek pamiętał. Przepraszałem wielu ludzi za rzeczy, których nie byłem w stanie sobie

przypomnieć. Miałem tyle kursów, tylu kursantów i stos nieopisanych kaset. A potem ojcu się pogorszyło. Moje życie zmieniło się w koszmar i po prostu... zapomniałem. - Zaśmiał się z goryczą. - Dziwię się, że wróciłaś na zajęcia.

- Szczerze mówiąc, ja też się sobie dziwiłam, ale nie zamierzałam dawać ci satysfakcji. Poza tym zależało mi na dyplomie. Od tamtego dnia więcej się do mnie nie odezwałeś, nie wyznaczałeś do odpowiedzi, nawet na mnie nie spojrzawsz, kiedy mijalesz mnie w korytarzu. I dobrze.

- Odsłuchałem te taśmy, coraz więcej o tobie myślałem i zacząłem sobie przypominać. Że siedziałaś w tylnym rzędzie. Że ciągle o coś pytałaś, kwestionowałaś to, co mówiłem, jak uczyłem. I że byłaś moją najlepszą studentką.

- Może nie zawsze się z tobą zgadzałam, ale nigdy cię nie atakowałam. Pytałam, kiedy miałam wątpliwości.

Zaśmiał się cicho.

- Oględne określenie.

- No, może trochę cię atakowałam.

- Bardzo.

- Umiarkowanie.

- Umiarkowanie - powtórzył z uśmiechem. - Zawsze siedziałaś w tym samym miejscu, zawsze z dala od grupy.

- Bo nigdy do niej nie należałam - oświadczyła. - Dla nich medycyna w ekstremalnych warunkach to opatrzenie skaleczonej nogi na wycieczce, a ja wskakiwałam na psi zaprzęg i jechałam w śnieżycę do wioski, gdzie pojawiła się gruźlica. To dwa różne światy.

- Miałaś króciutkie włosy? I wielkie okulary...
- Jestem po operacji wady wzroku. Okulary na Alasce to wielka niewygodna.
- I byłaś nieco pulchniejsza.
- Trochę ciężkiej pracy. I brak czasu na jedzenie tego, co gotuję Dymitrowi.
- Wtedy się uśmiechałaś. Teraz już się nie uśmiechasz. I byłaś naprawdę miła. Trochę zadziorna, ale miła.
- Ale już nie jestem?
- Jesteś twardsza, to na pewno. Kiedyś, nawet kiedy mnie atakowałaś, robiłaś to w miły sposób.
- Dopóki nie wbiłaś mi noża w plecy.
- Wyróżniałaś się. Wiedziałaś tyle co ja, jeśli nie więcej. Żyłem jak za mgłą, poczułem się zagrożony. Moje życie się waliło, przestałem panować nad nałogiem, a ty wydawałaś się taka pewna siebie. Też chciałem taki być, Alek. Taki jak ty! Ale to było niemożliwe, więc wylądowałem na tobie złość i frustrację. To był najgorszy dzień w moim życiu, cierpiałem i chciałem, żeby cierpiał ktoś jeszcze. Przepraszam cię, choć nie oczekuję, że przyjmiesz moje przeprosiny.
- Było, minęło. Znałam wielu lekarzy, którzy przechodzili przez to samo, na studiach albo na stażu. Presja jest straszna i nie powiem, sama zastanawiałam się, czy czymś się nie podeprzeć. Ale rozumiem, co musiałeś wtedy przeżywać, i podziwiam cię za to, że się z tego wyrwałeś. Po prostu trochę szkoda, że nie wiedziałam, co się z tobą dzieje. Nie byłoby mi... tak ciężko.

- Nie podziwiał mnie. Nie ma za co. Wciąż ze sobą walczę.
- Nigdy cię nie kusilo?
- Jasne, że tak. Jakiś demon wciąż szepcze, żebym sięgnął po następną tabletkę.

- Jesteś dobrym lekarzem. I nie mówię tylko o twoich umiejętnościach, ale o twoim podejściu do ludzi. Dobrze się przy tobie czują, umiesz słuchać, umiesz... Wiesz co, Michael? Wyrwałeś się z piekła i to jest godne podziwu. I szczerze przyjmuję twoje przeprosiny. Szkoda tylko, że jeden powód, z którego cię nie lubiłam, zastąpiłeś innym, znacznie poważniejszego kalibru.

Zamknął za sobą drzwi. Uplęnęło kilka sekund, zanim wzrok Alek przyzwyczaił się do ciemności.

- Chyba powinieneś już iść - powiedziała. - Możesz przenocować u mnie w domu, a jeśli postanowisz zostać w Elkhorn na dłużej, poszukamy ci innego lokum.

- Nie rozumiesz, że ja tylko próbuję ją chronić?

- Przed Dymitrem? Nie, tego nigdy nie zrozumiem.

Podszedł cicho i usiadł obok niej na kanapie. Znaleźli się niebezpiecznie blisko, bliżej, niżby sobie tego życzyła. Odsunęła się, by przypadkiem nie dotknął jej ramienia, nogą nie musnął jej łydki. Usiłowała przywołać niedawną złość, lecz to, co czuła, nie mogłoby być dalsze od złości i przy całym swoim braku doświadczenia doskonale wiedziała, co się z nią dzieje. Czuła się tak, jak gdyby zdradziło ją własne ciało.

- Michael, nie...

- Nie co? Nie chcesz o tym pomówić jak cywilizowany człowiek?

- To nie nasza sprawa i nie my powinniśmy o niej rozmawiać.

- Wypisała mu kolejny czek, Alek. Upoważniła mnie do dysponowania swoim kontem, więc to jednak jest moja sprawa. Przynajmniej po części.

- A powiedziała ci, czemu to zrobiła? A może ty wcale nie chcesz znać powodu, tylko wolisz rzucać bezpodstawne oskarżenia.

- Powiedziała, że nic mi do tego, że to jej pieniądze i rozporządza nimi tak, jak uważa za stosowne. A moja matka nigdy nie była skryta, Alek. Nigdy! Dopiero teraz zaczęły się jakieś sekrety.

- Twoja matka wie, co mówi. To jej pieniądze i jej sprawa. Musisz zrozumieć, że Dymitr jest dla mnie kimś więcej niż tylko szefem. Kocham go i nie pozwolę go skrzywdzić.

- Cóż, ktoś, kogo kochasz, krzywdzi kogoś, kogo ja kocham. Nie pozwolę, żeby ktoś wykorzystywał dobroć mojej matki, więc znaleźliśmy się w impasie. Co dalej?

Usłyszeli pukanie do drzwi.

- Mamy nagły wypadek w Ridgeover - oznajmiła Mariska. - Nie da się go do nas w porę dowieźć.

- Kto to? - spytała Alek, zrywając się z kanapy.

- Bill Waite. Przywieźli go łodzią z wyspy Almick, ma ostre bóle brzucha. Oolagon Rock twierdzi, że to wyrostek i lada chwila może dojść do perforacji.

- Temperatura?

- Podwyższona, ale nawet nie mają termometru.

- Bolesność uciskowa?

- Cytując Oolagona, Bill wrzeszczy jak baba przy porodzie. Aha, no i nieźle ich zasypało. Ale da się przejechać po pasie startowym. Już zapalają pochodnie.

- Dobrze, dzwoń do Dymitra i powiedz mu, co się dzieje. I szykuj zestaw operacyjny. Lecę do domu, przebiorę się i ruszam w drogę.

- Spodziewany czas przybycia? - spytała Mariska. Alek zerknęła na zegarek.

- Z domu jeszcze zadzwonię sprawdzić prognozę pogody, ale jakieś czterdzieści pięć minut, plus minus kwadrans. Och, i przekaz Oolagonowi, żeby podstawił pod pas żelazne psy. Nie chcę się telepać po tamtejszych drogach pikapem. - Zaśmiała się. - Zwłaszcza jeśli on prowadzi. Zadzwoni też do Waltera Rasmusse-na, niech dopilnuje, żebyśmy mogli od razu startować.

- Już dzwoniłam - odparła Mariska. - Marudził, że budzę go w środku nocy, ale obiecał, że będzie czekał z włączonym silnikiem. Oczywiście wiesz, że to cię będzie kosztowało? "

Alek ufała Walterowi bezgranicznie, wiedziała, że jak nikt zajmie się jej cessa. Dusza człowiek, ale strasznie marudny, a przy tym wielki amator deseru z kaszy mannej na słodko, z orzechami i wanilią.

- Jak tylko wrócę, dostanie tę swoją guriewską kaszkę. O czym świetnie wie. Och, potrzebuję jeszcze dużo...

- Wiem - odrzekła Mariska opryskliwie. - Antybiotyków, środków przeciwbólowych. Pracowałam tu, zanim ty jeszcze z pieluch wyrosłaś, młoda damo. Pamiętasz? Sama cię uczyłam, czego potrzeba do operacji poza szpitalem.

Alek cmoknęła ją w policzek i kiwnęła na Michaela.

- Co tak stoisz, mieszcuchu? Chyba nie chciałbyś tego przegapić?

- Nie jestem pewny, jak określenie „pas startowy” wiąże się z pojęciem wizyty domowej, bo chyba o to chodzi? Samolotem na wizytę domową?

- Zgadłeś. Polecimy.

- A ten Walter od kaszy będzie naszym pilotem? - dopytywał się, biegnąc za nią.

- Nie masz choroby lokomocyjnej? - spytała. - Bo będzie trochę trzęsło.

- Nie, nie mam choroby lokomocyjnej.

- Tylko nie opowiadaj potem, że cię nie uprzedzałam. Będziemy lądować w szczerym polu.

- Na polu?!

- W dolinie, między górami. Dla nas to normalka, panie doktorze. Łąduje się, gdzie się da, byle było trochę pustego miejsca. Na lodzie, w śniegu, na wodzie, a jak dopisze szczęście, to na ziemi.

- Ale Walterowi to nie robi różnicy? - spytał z niepokojem.

Alek parsknęła śmiechem i pomachała Dymitrowi, który właśnie wyszedł na ganek.

- Nie dopuściłabym Waltera do sterów, zwłaszcza przy lądowaniu. Jest na pół ślepy. Retinopatia cukrzycowa. Ale za młodu był z niego dobry pilot.

- A ty pozwalasz, żeby pilotował?

- Nie, zrobię to sama. Jestem pilotem. Od lat. -Niemał dziesięciu. -
Walter był moim instruktorem.

Michael zatrzymał się jak wryty.

- Zabieram go ze sobą - powiedziała Alek, patrząc na Dymitra, i zaśmiała się. - Chyba. Ma coś niewyraźną minę.

- Sprawdziłem prognozę pogody. Możesz ruszać.

- Najchętniej zamiast Michaela wzięłabym ciebie. Chcesz? - Dymitr stracił licencję przed rokiem, nie przeszedł badań wzroku. - Maggie weźmie za ciebie dyżur, a w razie czego ma jeszcze Michaela do pomocy. Byłoby naprawdę miło, znowu tylko my dwoje. Oolagon strasznie by się ucieszył.

Oolagon był kimś w rodzaju uzdrowiciela. Emerytowany inżynier, który długie lata przepracował w rafinerii ropy naftowej, wrócił na Alaskę szukać spokoju i odnalazł go, opiekując się mieszkańcami północnego krańca półwyspu. Przeszedł kurs medyczny, co było dla wszystkich prawdziwym błogosławieństwem, bowiem Ridgeover leżało za kręgiem polarnym i w zimowych miesiącach było praktycznie odcięte od świata.

- Chyba byłbym dla ciebie za ślamazarny - odparł ze smutkiem Dymitr.

- Potem przesiadam się na żelaznego psa - dodała w nadziei, że tym go skusi. Wiedziała, że Dymitr uwielbia jazdę skuterem.

- Pomyślałem, że pożyczę twój zaprzęg i jutro pokażę Maggie okolicę. To miłsze zajęcie od usuwania komuś wyrostka, choć ty zapewne jesteś innego zdania.

- Jeszcze jeden przytyk do mojego nudnego życia i zapomnę, jak się smaży oładki.

Z boleściwą miną złapał się za serce.

- Tylko nie to!

Roześmiana Alek posłała mu całusa.

- Do zobaczenia jutro albo pojutrze.

- Tylko uważaj na siebie. Chyba wpadłaś komuś w oko! - zaśmiał się, zerkając na Michaela.

- Jest ciemno, nic nie widzisz - odparła, ale też obejrzała się i ruszyła w jego stronę. - Na pewno zastanawia się, co lepsze: aviomarin czy papierowa torebka.

- Zadzwoń do mnie od Waltera - zawołał za nią Dymitr. - Podam ci najświeższą prognozę pogody!

Pobiegła do domu.

- Leżałeś w moim łóżku? - oburzyła się, zaledwie weszła do sypialni.

- Tylko w wyobraźni - zaśmiał się. - Zaintrygował mnie zapach lawendy.

- Więc jednak tu byłeś!

- Lubię lawendę, Alek. Ale jaśmin bardziej by do ciebie pasował. To mocniejszy zapach, bardziej finezyjny, lawendowy jest przytłumiony i ugrzeczniiony. Powinnaś skusić się na jaśmin.

Potrząsnęła głową.

- Nie mam na to czasu - odparła. - Ubieraj się i idziemy.

- Zakładasz, że z tobą polecę?

- Zakładam, że w takiej sytuacji żaden lekarz z prawdziwego zdarzenia nie zostałby w domu. Ale to twój wybór. Polecę z tobą albo bez ciebie. -
Uśmiechnęła się krzywo. - Jeśli zostajesz, to zamknę sypialnię na klucz.

O dziwo, naprawdę chciała, by z nią poleciał.

RS

ROZDZIAŁ ÓSMY

- Już możesz patrzeć - odezwała się Alek, gdy cessna wzbiła się w powietrze.

- Na co? Na ciemności?

Kurczowo ścisnął brzegi fotela i modlił się, by Alek nie zauważyła, że pobiełały mu knykcie. Samoloty powinny być olbrzymie, z dwoma pilotami, mnóstwem personelu pokładowego roznoszącego na uspokojenie alkohol w malutkich buteleczkach i nieświeże precelki w plastikowych torebkach, oraz z trzystoma innymi pasażerami w stanie skrajnego napięcia nerwowego. Co go podkusiło, by z nią lecieć czymś takim?

- A nie lepiej na przyrządy pokładowe? - odparła i roześmiała się. - Nie martw się, raczej się nie zgubimy. Walter pewnie zatankował ją do pełna, więc powinno się obejść bez awaryjnego lądowania. Na takim odludziu lata czekałibyśmy na pomoc.

Rzucił jej niezbyt rozbawione spojrzenie, a potem sztywno wyprostował się w fotelu, bowiem awionetką nagle lekko zatrzęsło.

- Świetnie się bawisz, co? Porwałaś mnie, żeby się ze mnie naśmiewać i móc mnie torturować.

- Zgadłeś. O niczym innym nie marzyłam.

- Powinienem był poprosić cię przed startem, żebyś pokazała mi licencję! - rzucił lekko, choć wcale nie było mu do śmiechu.

- Licencję? Jaką licencję? - zażartowała.

- Dobra, poddaję się. Nie lubię małych samolotów. Zadowolona? Normalnymi samolotami mogę latać, nie ma sprawy, ale takich malizn po prostu nie cierpię.

- Owszem, jestem zadowolona. Spowiedź oczyszcza duszę. I przypomina człowiekowi, że jest śmiertelny.

- Jesteś sadystką, Alek. Zwykłą sadystką. Uśmiechnęła się słodko i wprowadziła samolot

w lekkie turbulencje, tym razem z pełnym rozmysłem.

- Lepiej zamknij oczy. Widzę, że aż włos ci się zjeżył.

- Sadystką ze specyficznym poczuciem humoru, takim nie śmiesznym - wymamrotał przez zęby. - Ile jeszcze zamierzasz mnie torturować?

- Jakieś pół godzinki. Wolałabym dłużej, ale mamy sprzyjający wiatr i raz, dwa przelecimy nad tą górą. - Ściągnęła brwi. - Chyba nie miewasz ataków paniki?

- Nie. - Spiorunował ją wzrokiem. - Nie miewam.

- To dobrze. Wolałabym nie widzieć, jak spelzasz z fotela. Na podłodze bardziej czuć turbulencje.

Obejrzał się. Tył awionetki przystosowany był do transportu chorego: stały tam nosze, aparat tlenowy i przenośny defibrylator. W sumie całkiem przytulnie, o ile sama cessa stałaby na ziemi.

- Często latasz do chorych awionetką?

- Och, trzy, może cztery razy w miesiącu. Zimą częściej niż latem.

- Dymitr ci nie towarzyszy?

- Rzadko lataliśmy razem, nawet kiedy jeszcze miał licencję. Ktoś musiał zostać w szpitalu. Częściej latał z Olgą. Po jej śmierci zostaliśmy tylko we dwójkę. Wprawdzie przyjeżdżali do nas młodzi lekarze na staż, ale nikt tu nie chciał zostać. Dopóki nie skończyłam studiów, Dymitr latał sam, no, może czasami z Walterem, kiedy pogoda była wyjątkowo zła, albo stan pacjenta bardzo ciężki. Walter nie jest lekarzem, ale miał do czynienia z medycyną w wojsku. Odkąd Dymitr stracił licencję, wszystko jest na mojej głowie. Czasami zabieram ze sobą pielęgniarkę albo któregoś z wolontariuszy. Twoja matka będzie dla nas prawdziwą wyрекą - dodała i natychmiast pożałowała swoich słów.

- Nie ma mowy, żebyś wciągała moją matkę do tego blaszanego pudła!

- W sali operacyjnej też stoisz jej nad głową i su-flerujesz, co ma robić?

- Jeśli to sala operacyjna na stałym gruncie, to nie.

- Uważasz mnie za złego pilota? - rozłościła się. - Wybaczyłam ci, że nazwałeś mnie mamą lekarką, a ty w podzięcie krytykujesz moją umiejętność pilotażu?

- Zanie cię nie krytykuję. Po prostu nie życzę sobie, żebyś wozila tym gratem moją matkę, do cholery!

- Posłuchaj, Michael. Żyję, wciąż jestem w jednym kawałku, więc chyba nie latam najgorzej. Kupiliśmy ten samolot rok temu, za małą fortunę. Nie sądzę, żebym do końca życia zarobiła tyle pieniędzy. Złożyliśmy się wszyscy, Dymitr, ja, mieszkańcy naszej wioski, nawet rząd coś dorzu-

cił, więc chyba sam widzisz, jak bardzo był nam potrzebny. A latam równie dobrze jak lecę.

- Nie mam nic do ciebie jako do lekarki. I wyobrażam sobie, jak bardzo wszyscy potrzebowali tego samolotu. Ale nie musi nim latać moja matka. I nie chodzi mi o pieniądze, ona... Ona musi wrócić do domu.

- Czemu? Tu ma pracę, tu jest szczęśliwa. Dlaczego chcesz jej to wszystko odebrać?

- Nie o to chodzi - odparł, poprawiając się w fotelu, i zamknął oczy. - Po prostu chcę, żeby wszystko wróciło na swoje miejsce. - Milczał chwilę; nie był w stanie przyznać się, że w czarnej godzinie zawiódł swych najbliższych. - Więc lądujemy w Ridgeover i przesiadamy się na psi zaprzęg. A co potem? Operacja w igloo?

- Po pierwsze, nie jedziemy psim zaprzęgiem, mimo że tak byłoby znacznie przyjemniej. Pojedziemy żelaznymi psami, czyli skuterami śnieżnymi, ty mieszczuchu. Są szybkie i niezawodne. Co do igloo, teraz to raczej tylko atrakcja turystyczna. Używają ich myśliwi, rybacy, ale nikt w nich nie mieszka. Wolimy normalne domy. - Uśmiechnęła się. - Ale jeśli chcesz, to zanim stanę do operacji, poproszę kogoś, żeby ci pokazał, jak się buduje igloo. Będziesz miał gdzie nocować.

- Wolę cieplejsze wnętrza. I obsługę hotelową.

- Aleś ty rozpieszczony.

- Fakt. Jestem rozpieszczony i dobrze mi z tym.

- Skoro lubisz łatwe życie, to czemu wybrałeś akurat taką specjalizację? Widziałabym cię raczej na urazówce, albo jako szefa oddziału ratunkowego. Czemu uczysz czegoś, czym się na co dzień nie zajmujesz?

- Ktoś musi. Zacząłem się interesować tym tematem jeszcze na studiach, z czasem stał się moją pasją, zacząłem dawać wykłady.

- To czemu ograniczasz się do teorii? Wzruszył ramionami.

- Od praktyki mam swój oddział.

- Taka praca bardziej ci odpowiada?

- Może to dziwnie zabrzmie, ale dla mnie to idealny układ. Nie wiem, jak lepiej to opisać. Lubię i pracę w Seattle, i wykłady.

- A skąd wzięła się twoja miłość do medycyny ekstremalnej?

O tym także nikomu dotąd nie opowiadał.

- Jeszcze będąc na studiach, zobaczyłem, do jakiej katastrofy może doprowadzić brak wiedzy. Sprawa była banalna, zwykle odmrożenie, facet miał za ciasne buty. Ale to, co zobaczyłem... Lekarz zrobił wszystko źle, oczywiście nie celowo. Ogrzewał temu biedakowi stopy przy ognisku, wyobrażasz sobie? Nie włożył gazy między palce. - Pamiętał to aż za dobrze: skóra na palcach stała się tak cienka, że pękała przy byle dotknięciu. - Potem włożył mu ciasne skarpety, żeby mu było ciepło. Wszystko na opak. Do nas pacjent trafił już z nekrozą. Stracił nogi i miał szczęście, że nie stracił i życia. - Pokręcił głową. - To był dla mnie moment przełomowy. Nie chciałem, żeby jeszcze kogoś spotkał taki los. Tamten człowiek i tak najpewniej straciłby nogę, bo miał odmrożenia trzeciego stopnia, ale nie mogłem zapomnieć, ile się wycierpiał.

- Szlachetne pobudki - zauważyła. - Szkoda, że ograniczasz się do teorii, bo mówisz o tym z taką pasją... Przez nasz szpital przewijają się wielu żółtodziobów, młodziutkich lekarzy święcie przekonanych, że poradzą sobie w każdych warunkach. Część chce się uczyć, inni wierzą, że już wiedzą

wszystko. Niektórzy rzeczywiście wiedzą sporo, ale większość nie wie nic. Właśnie tacy są najbardziej rozczarowani, kiedy nie puszczamy ich do ofiar lawiny albo nie pozwalamy stanąć do operacji na małej wysepce daleko od brzegu. To inny świat, niektórzy się tu sprawdzają, inni nie. I wymaga prawdziwej pasji, inaczej nikt by nie wytrzymał.

- Moja matka nigdy nie pracowała w takich warunkach.

- Nie znam jej, nie widziałam, jak pracuje. Ale zrobiła wrażenie na Dymitrze, i na pewno nie pieniędzmi. Mogłaby mieć wszystkie pieniądze świata, ale nie przyjąłby jej do pracy, gdyby się nie nadawała.

- A więc i ja zrobiłem na tobie wrażenie, skoro mnie ze sobą zabrałaś?

- Wierzę twojej opinii. A jeśli się mylę? Cóż, zawsze przyda się ktoś, kto po mnie posprząta, przetrze podłogę, pozbiera narzędzia. Więc jak to jest, doktorze? Naprawdę jesteś taki wielki spec?

- Miewam przebłycki geniuszu - odparł rozbawiony.

I zrelaksowany, mimo że wciąż był zdany na łaskę kobiety, która bez wahania wyrzuciłaby go z samolotu

- i to bez spadochronu - gdyby ją rozzłościł. A może po prostu zaczyna jej ufać? W rzadkich chwilach, gdy przestawała się złościć, naprawdę mu się podobała. A gdy się złościła, podobała mu się jeszcze bardziej.

- Jak każdy, prawda? - przyznała z westchnieniem.

- Przepraszam, że jestem taka marudna. Ale zrozum...

- Rozumiem. Chcesz kogoś chronić, tak jak ja.

- Mimo że ani jedno, ani drugie opieki nie potrzebuje ani jej nie chce - stwierdziła ze śmiechem. - Teraz pewnie spiskują, co zrobić, żebyśmy przestali się wtrącać. Na ich miejscu robilibyśmy to samo.

- Ach, ale czyż to nie naturalne, że interesujemy się życiem tych, których kochamy?

Gdyby swego czasu nie był taki pochłonięty sobą i swoimi problemami, może jego ojciec wciąż by żył. Może dwuletnia walka Erica Morse'a z rakiem prostaty zakończyłaby się inaczej, gdyby syn bardziej interesował się jego życiem, w porę wysłał go na badania.

- Jasne. I wtrącamy się przy każdej okazji. Może to i szczęście, że ludzi, których kochamy, jest tak mało, nie uważasz?

- Oj, tak - przyznał trzeźwo. Alek spojrzała na niego z ukosa.

- Nie mógłbyś zaprzeczyć?

- Widzisz, jaka jesteś przewrotna? Przyznaję ci rację, a ty masz mi to za złe. Nigdy z tobą nie wygram, co?

- Oj, nie - odparła, po czym oboje się roześmiali.

- Jedno mnie ciekawi. Po co ci taki kurs? Prawo go nie wymaga. Zresztą założyłbym się, że sama poprowadziłabyś zajęcia nie gorzej ode mnie.

- Lepiej - poprawiła pogodnie. - Zamiast faszerować kursantów teorią, przywiozłabym ich tutaj. Książkowa wiedza nawet nie umywa się do solidnej, rzetelnej praktyki.

- No to po co zapisałaś się na kurs?

- Dymitr się uparł. Twierdził, że to podniesie prestiż szpitala, ale podejrzewam, że po prostu chciał wysłać mnie do ludzi.

- Bo takie tu pustkowie?

- Uwielbiam tu mieszkać, mamy wszystko, czego dusza zapragnie. Ciepłą pogodę, zimną pogodę, długie dni, długie noce. A krajobraz... plaże, pola lodowe, lasy. Setki gatunków kwiatów, a chociaż lato jest krótkie, kiedy przyroda się budzi... Drugiego takiego miejsca nie znajdziesz na całym świecie. A zwierzęta? Gdzie jeszcze masz niedźwiedzie, karibu, łosie, morsy, lisy, orły, renifery i wieloryby? Ale najwspanialsii są ludzie. Rdzenni Alaskijczycy, Rosjanie i kto tam jeszcze chcesz. Ludzie, którzy kochają piękno natury. Gdybyśmy nie żyli w takiej głuszy, już dawno zalałby nas potop turystów.

Zamilkła.

- A tak naprawdę, to Dymitr chciałby, żebym upolowała sobie męża. Ostatnio dużo o rym myśli. Martwi się, że najlepsze lata mam już za sobą. Strasznie chciałby być dziadkiem. Najlepiej mieć małą wnusię albo od razu dwie.

- To twój...?

- Nie. Ale to długa historia.

Wyraz jej twarzy jasno mówił, że nie zamierza tego tematu kontynuować.

- Jesteś okrutna. Chodziłaś na zajęcia, żeby szukać męża, a nie żeby podziwiać moje błyskotliwe wykłady.

- To Dymitr poluje na męża dla mnie, a nie ja. Ja byłam ciekawa, co masz do powiedzenia.

- I dokuczałaś mi z ciemnego kąta.

- Tylko kiedy sobie na to zasłużyłaś.

- No to jak? Nauczyłaś się czegokolwiek? Oprócz tego, że wykładowca też może być głupi jak but?

- Zrozumiałam, jak bardzo kocham swoją pracę i jak bardzo za nią tęsknię. Och, a wykładowca nie był kompletnym idiotą. Wykłady o wirusie Zachodniego Nilu nawet mi się podobały. Przy takiej populacji komarów, jakiej dochowaliśmy się na Alasce, wirus też szybko do nas dotrze.

- Starasz się być dla mnie miła?

- Po co? - Zaśmiała się. - Teraz, kiedy jesteś w pułapce i nie możesz uciec?

- Mówiłem: sadystka.

- Przestań ścisnąć te poręcze, jeszcze się jakiegoś skurczu nabawisz, a mamy operować.

Przez chwilę przebierał palcami, aby przywrócić krążenie.

- Oczywiście powrót autobusem lub pociągiem odpada?

Alek obniżyła dziób samolotu i wskazała skupisko światełek w dole.

- Widzisz? Teraz musimy wylądować między dwoma rzędami świateł.

- A jeśli ci się nie uda?

- Cóż, wtedy mamy kilka opcji. Drzewa, góra albo pochodnie. Jeśli naprawdę fatalnie wycyrkluje, będziemy wodować na Kotzebue Sound. Uuu, niebezpieczne wody - rzekła poważnym tonem, ale usta jej zadrgały jak do śmiechu.

Michael oparł dłonie na kolanach i zamknął oczy.

- Dobra jesteś - stwierdził.

- W czym?

W wielu rzeczach, pomyślał, lecz głośno powiedział tylko:

- Tak mnie zagadałaś, że zapomniałem, że moje życie jest w twoich rękach. Mam nadzieję, że wylądujesz bezpiecznie, chociaż mnie nienawidzisz.

- Nienawiść to takie mocne słowo. Powiedzmy, lekka antypatia - odparła, ale wciąż się uśmiechała.

Otworzył oczy w chwili, gdy koła cenny dotknęły ziemi. I nagle coś zrozumiał.

- Cholera - mruknął. Może to jeszcze nie miłość, ale... coś jej bardzo bliskiego. - Cholera - powtórzył.

- Klniesz z zachwytu czy ze zgrozy?

- Jeszcze nie wiem.

Uroczo wyglądał z tą przerażoną miną i z kurczowo zaciśniętymi rękami. Lot okazał się znacznie mniej męczący, niż się obawiała. Całkiem przyjemnie im się rozmawiało, może nawet mogliby się zaprzyjaźnić, gdyby nie ta sprawa z czekami.

- Jechałeś kiedyś żelaznym psem? - zagadnęła, otwierając drzwi. - Mamy przed sobą dziesięć kilometrów, więc wybieraj: przód czy tył.

Wizja obejmowania go w pasie nie wydawała się Alek taka najgorsza, ale chyba byłoby jeszcze milej, gdyby to on siedział za nią i ją trzymał w pól.

- A dałabyś mi prowadzić? Zaskakujesz mnie.

- Och, Oolagon pojedzie przodem, więc i tak się nie zgubimy. -

Wskazała potężnie zbudowanego mężczyznę o związanych w kucyk si-

wych włosach i posepnym wyrazie twarzy. Mężczyzna kołysał zapaloną lampą. - Pokaże ci, jak wyminąć łośia, o ile jakiś stanie nam na drodze.

- Ty prowadziłaś samolot, ja poprowadzę żelaznego psa- oznajmił, podając jej pudełka z lekami. -Niech ja też sobie kogoś potorturuję.

- Proszę bardzo. Mów i rób, co chcesz, bylebym nie wylądowała na ziemi.

- Nie kuś mnie.

- Chyba już jeździłeś skuterem - zaniepokoiła się nagle. - To nie jest twój pierwszy raz?

- A jak myślisz? - spytał roześmiany, po czym wskoczył na skuter. - Cóż, będziesz musiała się przekonać. No, pośpiesz się, Alek. Strasznie się ociągasz.

Ustawił się za Oolagonem, a przed kilkoma wolontariuszami na skuterach. Alek pomyślała, że istotnie powinna się pośpieszyć: Michael zacznie ze wszystkimi rozmawiać i za chwilę pojedą bez niej.

Zapięła kask, usiadła za nim i objęła Michaela w pasie. Gdy oparła policzek o jego plecy, poczuła się tak, jak gdyby między nimi przeskoczyła iskra. Zrobiło jej -się gorąco, a nie mogła nawet rozpiąć kurtki.

- Nie mogę tak! - krzyknęła, gdy skuter ruszył z rykiem. - Zamieńmy się!

- Za późno! - odkrzyknął. - Trzymaj się mocno! Nie wrócę po ciebie, jeśli spadniesz!

Nie musiał jej tego mówić, Alek znała każdy wybój na tej drodze. Tylko skąd to wrażenie, że serce zaraz wyskoczy jej z piersi? Czyżby zaczęła się w nim zakochiwać? W człowieku, który wyjedzie stąd jutro czy

pojutrze? Jednak nawet ta myśl nie mogła sprawić, by jej głupie serce zaczęło bić w normalnym tempie.

- Idiocyzm - mruknęła w jego kurtkę. - I na dobre mi nie wyjdzie.

Niemniej przejażdżka była cudowna, choć nadspodziewanie krótka. Michael świetnie prowadził. Zsiadła ze skutera przed dobrze oświetlonym drewnianym domem na skraju Ridgeover, wioski liczącej sobie grubo ponad stu mieszkańców, i pierwsza wpadła do środka.

- Bill? - zawołała, rzucając kurtkę na podłogę. - Jest ze mną doktor Morse, zaraz ci pomożemy.

Kiedy zobaczyła postawnego mężczyznę o wyglądzie drwala, czerwonego na twarzy wypisz wymaluj jak jej popisowy barszcz, spoconego jak w saunie, przeraziła się, że przyjechali za późno i wyrostek już się rozlał.

- Będę pani... bardzo wdzięczny, pani... doktor - wysapał, próbując się uśmiechnąć. - Boli jak cholera. Przepraszam za wyrażenie.

- Od kiedy boli?

- Od trzech, czterech dni, ale nie przez cały czas. Dzisiaj po południu to aż mnie zgięło.

Alek zmierzyła puls: przyśpieszony i nie taki równy, jak być powinien. Oddech miał płytki i szybki, czoło rozpalone.

- No dobrze. Teraz zbadam panu brzuch, a pan mi powie, kiedy boli, a kiedy boli jak cholera.

Zerknęła na kobietę, która opiekowała się Billem. Miała na imię Umuk, nazwiska Alek nie znała.

- Brał coś przeciwbólowego? Aspirynę, ibuprofen? Jakiegokolwiek ludowy specyfik?

Zdarzało się, że Eskimosi próbowali leczyć się jagodami, korzonkami czy korą, a nawet zwierzęcym tłuszczem. Alek uśmiechnęła się ponuro. Michael mówił o znachorskich praktykach, no to ma, zabobony w najczystszej wydaniu. Umuk pokręciła głową.

- Oolagon mówił, żeby nic nie dawać. Nawet wody.

- Dobrze - pochwaliła Alek. - Może mi pani przynieść wiadro śniegu?

Śnieg, najskuteczniejszy naturalny środek chłodzący, którego mają na Alasce nieograniczony zapas.

Po wyjściu Umuk Alek przystąpiła do badania. Zaczęła od nadbrzusza.

- Bill? Krzycz, kiedy zaboli.

- Przez kilka godzin to tak się wydierałem, że cała wioska mnie słyszała.

Po lewej stronie brzucha nie stwierdziła zwiększonej bolesności. Gdy zaczęła badać prawą, Bill coraz głośniejsze pojękiwał. Kiedy dotarła do dolnego prawego kwadrantu, wrzasnął. Nie potrzebowała nowoczesnego sprzętu, aby postawić diagnozę. Ostre zapalenie wyrostka. Czy doszło do perforacji? Nie wiedziała.

Michael wszedł do pokoju. Rzucił wszystko na podłogę i spytał:

- Co z nim?

- Wyrostek. Musimy się śpieszyć.

- Rozlany?

Odsunęła się tak, aby Bill jej nie słyszał.

- Chyba tak. Moim zdaniem nie nadaje się do transportu, nie takimi drogami. Podróż mogłaby go zabić.

- Czyli operujemy tutaj - stwierdził spokojnie. Usunięcie wyrostka to relatywnie prosta sprawa,

jednak jeśli doszło do perforacji, operacja w prowizorycznych warunkach mogłaby się okazać dla chorego równie niebezpieczna jak karkołomna podróż do szpitala.

- Nie widzę wyjścia. Musimy operować, i to szybko. O ile wyrostek jeszcze nie pękł, to pęknie za chwilę. I... Michael? Cieszę się, że tu jesteś. Chciałam, żebyś to wiedział.

Michael pochylił się nad nią, lecz zamiast szepnąć jej coś do ucha, jak się spodziewała, delikatnie pocałował ją w usta. Krótco, czule i zupełnie nieoczekiwanie.

- Ja też się cieszę, Alek - odparł i pocałował ją jeszcze raz, odrobinę śmielej. - Ja też się cieszę.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

- Tym razem nie znieczulamy whisky - stwierdziła Alek. - Może sprawdza się przy rwaniu zębów, ale nie przy usuwaniu wyrostka.

- Nawet anestezjologa? - spytał z uśmiechem Michael, sprawdzając, czy kroplówka jest dobrze podłączona. Plastikowy worek z płynami powiesił na łośiowych rogach zdobiących ścianę nad łóżkiem.

Alek spojrzała na wypchany łeb łośia. Zobaczyła, że nozdrza są zakryte chirurgiczną maską i parsknęła śmiechem.

- Oj, chyba już się dobrałeś do tej whisky. Podobnie jak twój nowy rogaty kolega.

- Powinnaś częściej się śmiać. Nos ci się wtedy tak ślicznie marszczy.

Poczuła, że pieką ją policzki, ale miała nadzieję, że on tego nie zauważy. Pomyślałby Bóg wie co. Jeden niewinny pocałunek - a właściwie dwa - i miły komplement o niczym nie świadczą, a ona rumieni się jak pensjonarka. Nie może się zakochać, nie w nim. I nie tylko ze względu na Dymitra. Po prostu za bardzo się od siebie różnią.

Ma swoją ukochaną Alaskę. Ona nigdy jej nie zawiedzie, ale też nie przytuli w nocy, kiedy zrobi jej się smutno. Alek była gotowa się z tym

pogodzić, uważała, że to mała cena za piękno, jakie było jej dane podziwiać co dnia. Alaska i Dymitr. Dwa pewniki w jej życiu.

- Pacjent gotowy? - spytała. - Zbadałeś go, pytałeś o ewentualne alergie?

- Wszystko w normie, tylko temperatura rośnie. Do żadnych alergii się nie przyznał, niemniej przebąkiwał, że ten łoś przyprawia go o lekką niestrawność. Teraz śpi jak dziecko. Dawka etaminy, kołysanka i możemy zacząć. - Zawiązał maskę. - I nie myśl, że nie zauważyłem twoich kolorów, Alek.

- Jakich znowu kolorów? Ja się nie rumienię.

- To może zmierzyć ci temperaturę? Może masz gorączkę? - spytał przekornym tonem i zerknął na zegarek. Trzeba odczekać kilka minut, aż narkoza zacznie działać.

- Ciepło tu. To dlatego.

- A pocałunek?

- Podałś profilaktycznie jakiś antybiotyk na wypadek zakażenia? - pośpiesznie zmieniła temat.

- Dwa, ceftizoxime i cefotetan, bo nie wiemy, z jakim szczepem bakterii walczymy. Czemu nie chcesz rozmawiać o tym, co się stało? Czemu robisz uniki?

- A coś przeciwko nudnościom? Nie chcę, żeby wymiotował, kiedy go wybudzimy, i...

- Dostał ondasetron. Nic mu nie będzie - przerwał jej, po czym pochylił się i szepnął jej do ucha: - A co będzie z tobą, to jeszcze zobaczymy. To nie koniec, Alek.

Zerknął na Oolagona i wciągnął ją do sypialni.

- Migaj się, ile chcesz, ale się nie wymigasz.

- Nie wiem, o co chodzi. Próbuję skupić się na pracy. Mówisz, że to nie koniec? Co miałyby się kończyć, skoro nic się nie zaczęło? Trochę cię poniosło i...

- Jeszcze mnie nie widziałaś, kiedy naprawdę mnie poniesie.

- Po co to robisz? - zirytowała się. - Czemu akurat teraz?

Była zdenerwowana. Usiłowała trzymać Michaela na dystans, ale kiedyś sprawa z czekami się wyjaśni, i co wtedy? Żelazna konsekwencja. Jeśli Maggie zwiąże się z Dymitrem, Michael już zawsze będzie przewijać się przez jej życie. Musi być twarda.

- Chcę się zastanowić nad zabiegiem - skłamała, odsuwając się od niego.

- To ośmiocentymetrowe cięcie, Alek. Poradziłabyś sobie z zawiązanymi oczami. Śmiem twierdzić, że starasz się nie myśleć o czymś zupełnie innym.

Zajrzał do pokoju: Oolagon uniósł kciuki w geście „wszystko w porządku”.

- Dobra, chcesz rozmawiać, to porozmawiajmy - Alek się poddała. - Pocałowałaś mnie. Nie ty pierwszy i nie ty ostatni. W stresie ludzie robią znacznie dziwniejsze rzeczy. Nie demonizuj tego.

- Pocałowałem cię. To nazywasz dziwną rzeczą?

- Naprawdę myślisz, że... mielibyśmy jakąś szansę? Na co? Na mały flirt, na krótki romans? Po pierwsze, mieszkamy daleko od siebie, a ja nie zamierzam się przeprowadzać. Po drugie, nie zapominajmy, w jakim celu

przyjechałeś na Alaskę: wyrwać matkę z brudnych łap Dymitra. Ostrzegałam cię już, ale powtórzę to jeszcze raz: nie pozwolę ci go skrzywdzić. Mam uwierzyć, że myślisz o mnie poważnie? A może zachciało ci się małej rekompensaty za zmarnowany urlop? Wystarczy pojechać na Alaskę i znaleźć niedoświadczoną dziewczynę, która sama wskoczy ci do łóżka? Szkoda gadać, nie mam do ciebie siły. Wiem, że ty nigdy...

Michael zdjął maskę, podszedł do niej i czule pocałował ją w czoło. Potem spojrzął na zegarek.

- Może przed kolejną kłótnią usuniemy ten wyrostek?

Ma rację, pomyślała. Najwyższa pora stanąć do operacji. Zajmując miejsce przy prowizorycznym stole operacyjnym, zerknęła na wypchanego łosia, który wydawał się wodzić za Michaela zachwyconym wzrokiem. Prawdę mówiąc, nawet nie była tym zdziwiona.

- Cholera - mruknął Michael. - Miałem nadzieję, że jednak nie będzie perforowany. Nie ma wyjścia, musimy go przewieźć do Elkhorn.

- I tak nie jest najgorzej - odparła Alek, zajęta przepłukiwaniem jamy otrzewnowej. - Spodziewałam się bardziej rozległego zapalenia otrzewnej. Pomyliłam się, a miałam nadzieję, że mimo wszystko wyrostek się nie rozlał. Bill mógłby zostać w domu.

- Jesteś za dobra na takie pomyłki - rzekł z uśmiechem. - Mimo tego, co powiedział o tobie pewien bałwan.

- Co dowodzi, że umiesz poznać się na prawdziwym talencie - zaśmiała się Alek.

- Zdecydowanie wolę ten uśmiech od groźnie zmarszczonego czoła.

Bo widzę, że się uśmiechasz, mimo że masz maskę. Oczy ci się śmieją.

- A ja wolę zszytą ranę od otwartej, ale chyba musimy go tak zostawić.

Za duże ryzyko infekcji. U-stabilizujmy go, a potem będziemy dalej dyskutować o uśmiechach i grymasach.

- Nie wieziemy go do razu? - spytał Michael.

- Nie, bo pilot ledwie widzi na oczy. To nie byłoby bezpieczne. Więc o ile nie chowasz przede mną własnej licencji, to ruszymy, kiedy chwilkę się zdrzemnę.

- Skończyć za ciebie? - zaproponował. - Powinniśmy sobie poradzić we dwóch z Oolagonem.

Zerknął na Eskimosa, który tylko kiwnął głową.

- Będę wam bardzo wdzięczna.

Odeszła od stołu, ściągnęła jednorazowy fartuch, maskę, okulary ochronne i rękawiczki, po czym udała się do jedynej sypialni w domu Billa. Padła na łóżko, przekonana, że nie zdoła usnąć. Tymczasem zasnęła niemal natychmiast, rozpamiętując smak ust Michaela.

- Jeszcze przez jakiś czas będzie spał - uprzedził Oolagona Michael. - Spójrz raz na kwadrans, co się z nim dzieje, dobrze?

Przysłuchiwała im się grupa wolontariuszy, którzy przyszli czuwać przy chorym, sami milczący mężczyźni z twarzami bez wyrazu, ale pełni powagi.

- Zawołaj mnie, gdyby coś cię zaniepokoiło. Stan Billa był stabilny, ale antybiotyki nie zbiły gorączki tak szybko, jak należało oczeki-

wać. Michael martwił się, że zapalenie otrzewnej postępuje. Bill przeżył operację, jednak jego stan ogólny wcale się nie poprawił, a wciąż czekała go trudna podróż po wyboistych drogach z otwartą raną pooperacyjną.

- Umiemy troszczyć się o swoich - powiedział cicho Oolagon. - Niech się doktor nie martwi.

- Dobrze. Obudźcie mnie za dwie godziny. Wszedł do sypialni i przez chwilę obserwował śpiącą Alek. Skuliła się w kłębek na środku podwójnego łóżka. Zadziwiająca kobieta, pomyślał, siadając na brzeжку materaca. Uparta i nieustępliwa, wymagająca zbyt wiele od innych, a jeszcze więcej od siebie. Dla niej życie jest wiecznym polem bitwy.

Zwycięskiej bitwy. W każdym razie jego już zawojowała. Był nią zachwycony.

Jest taka seksowna, choć jeśli jej wierzyć, wciąż jest dziewicą. I znowu znalazł się w impasie. Nie może jej mieć, bo ona go najzwyczajniej nie chce. Co nie wystarczało, aby przestał jej pragnąć.

Położył się obok, ostrożnie, aby jej nie obudzić. Wiele czasu minęło, odkąd spał z kobietą, zresztą w przeszłości nigdy nie kończyło się na samym spaniu. I stwierdził, że cholernie miło jest po prostu leżeć obok Alek.

- Chyba sobie nie wyobrażasz, że tu zostaniesz? - spytała, nie otwierając oczu. - Ze mną w jednym łóżku?

Nie byłaby sobą, gdyby nie zaprotestowała, pomyślał, uśmiechając się pod nosem.

- Czytasz w moich myślach. Będę spał na tym łóżku, z tobą, bo w tym domu innego nie ma.

- Przenieś się na podłogę. Oczywiście dam ci poduszkę. Bez poduszki na podłodze byłoby za twardo.

- To jest bardzo duże łóżko, przecież całego nie zajmiesz.

- Lubię mieć dużo miejsca. Przez ciebie mam mniej możliwości...

- Albo więcej, zależy jak spojrzeć na sytuację.

- Rzecz w tym, że nie chcę żadnych sytuacji, chcę mieć całe łóżko dla siebie.

- Nie odstąpisz mi ani centymetra?

- Zajmujesz znacznie więcej niż centymetr - stwierdziła Alek, przewracając się na plecy. Przez chwilę oboje leżeli w tej samej pozycji, wpatrzeni w sufit. - Pewnie też wolałbyś mieć trochę więcej miejsca.

- Po co mi ono, skoro tu mi dobrze?

- Byłoby ci wygodniej. A może ja lubię spać w poprzek łóżka? Albo ciągle się wiercę?

- Wierć się, ile chcesz, boja się stąd nie ruszę. Już dawno bym zasnął, gdybyś tyle nie gadała. - Przekreślił się plecami do niej. - Jeśli nie planujesz opowiedzieć mi bajki albo zaśpiewać na dobranoc, to proszę o absolutną ciszę. Ewentualnie ciche chrapanie.

Alek ułożyła się na boku; dotykali się plecami.

- Ja nie chrapię. Kołysanek też nie śpiewam.

Milczeli. Michael kontemplował bliskość jej ciepłych bioder i zastanawiał się, jak to byłoby spać obok Alek już każdej nocy. Milutko. I piekielnie frustrująco, jęknął w duchu, gdy poruszyła się, aby przybrać wygodniejszą pozycję. Zrobiła to celowo? Najnowsza tortura wynalazku Aleksandry Sokołowej, podniecić go tak, by nie mógł zasnąć? Przyciska się

do niego tym kształtnym tyłeczkiem, by go dręczyć? A może naprawdę układa się do snu? Cholera, może jednak przenieść się na podłogę. Jeszcze raz to zrobi i... Znowu się poruszyła!

- Psiakrew, Alek, przestaniesz się kręcić?

Nie odpowiedziała, ale usłyszał cichutki śmiech i w końcu stracił cierpliwość. Przewrócił się na drugi bok i ułożył za nią, przyciągając ją do siebie i kładąc na niej nogę. W innych okolicznościach byłby to dopiero wstęp do dalszych igraszek. Alek szczelniej się w niego wtuliła, wzdychając ciężko. Po chwili słyszał już tylko miarowy spokojny oddech kogoś, kto mocno śpi.

Może nie tak zaplanowałby pierwszą wspólną noc, lecz i tak było miło. Pocałował Alek w szyję, zamknął oczy i szybko zapadł w sen.

- Wciąż jest pod narkozą! - krzyknął Michael, gdy nos samolotu zaczął się unosić. - Nic nie poczuje.

- Najważniejsze, że wytrzymał podróż samochodem, teraz to już małe piwo.

Michael dotknął czoła chorego; było stanowczo za ciepłe, biorąc pod uwagę ilość antybiotyków, jakimi go nafaszerowali. Oczywiście podróż pikapem, pod gołym niebem, też nie sprzyjała zdrowieniu.

Nagle Bill jęknął i wyprężył się jak struna. Michael chciał mu zmierzyć tętno, lecz w tym samym momencie Bill jakby wpadł w szal. Złapał lekarza za rękę i pociągnął w stronę podłogi; gdyby Michael opierał się, miałby już złamany nadgarstek. Potem z ust Billa dobył się rozzwierający wrzask, po którym popłynął strumień najgorszych możliwych przekleństw.

Usiłował usiąść na noszach, szarpał pasy, a kiedy do niego dotarło, że jest unieruchomiony, zaczął wrzeszczeć jeszcze głośniej.

- Przytrzymaj go! - krzyknęła Alek. - Nie mogę pilotować, kiedy tak się rzuca!

- Staram się - odkrzyknął Michael, ale Bill wciąż wykręcał mu rękę.

Alek włączyła automatycznego pilota i pochyliła się nad fotelem. Zdołała złapać Billa za rękę. Zaskoczony zaczął bić ją na oślep, puszczając Michaela.

- A jeśli cię znokautuje? Co ja wtedy zrobię? - zdenerwował się Michael, opadając na kolana, i podpełzł do noszy, by mocniej zacisnąć pasy.

Bill wykręcał jej rękę, tak jak przed chwilą Michaelowi. Wolną dłonią lekko go spoliczkowała, chcąc odwrócić jego uwagę. Wskórała tylko tyle, że jeszcze mocniej ścisnął jej nadgarstek. I znowu wyrzucił z siebie potok przekleństw, a potem próbował ugryźć ją w przedramię. Szarpał się z Alek, miotając wyzwiska. Na szyi wystąpiły mu żyły grube jak postronki, twarz posiniała.

- Ściągnij mocniej te pasy! - wołała Alek. - Daj mi zastrzyk! Nie wiem, zrób coś!

- Staram się! - odkrzyknął Michael, napełniając strzykawkę środkiem uspokajającym. - Ale nie chcę, żeby złamał ci rękę.

- Lepsza złamana ręka od rozwalonego samolotu. On krwawi... - Dostrzegła sączącą się przez opatrunek krew.

Michael zarzucił Billowi koc na głowę; o dziwo, pomogło. Zaskoczony chory puścił Alek i zaczął się szamotać z kocem, dając jej czas na powrót

za stery i sprawdzenie odczytów urządzeń pokładowych. Cudowny samolot! Poprzedni nie miał automatycznego pilota.

Ustabilizowała pułap lotu i obejrzała się na Michaela, który zdążył podać Billowi coś na uspokojenie.

- Trzyma się? Michael, uważaj!

Za późno. Bill strząsnął z siebie koc i zamachnął się na Michaela. Cios trafił go prosto w szczękę. Michael zatoczył się i rąbnął o ścianę samolotu, który wpadł w wyraźny przechył.

Alek rzuciła się do sterów, by skorygować tor lotu, zanim cessna runie na ziemię niczym kamień. Michael siedział na podłodze oszołomiony i opierał policzek, Bill darł się i miotał, coraz obficiej brocząc krwią z rany.

- Michael? - zawołała. - Jesteś cały?

- Tak - wymamrotał, ale się nie ruszył.

- Zostań, gdzie jesteś, słyszysz? Nie ruszaj się! Możesz mieć strzaskaną żuchwę, uraz szyi albo i coś gorszego, a teraz nie mam jak ci pomóc. Rozumiesz mnie, Michael? Ani mi się waź ruszyć.

Bill zaczął się powoli uspokajać. Alek martwiła się, że stracił dużo krwi, ale dopóki nie wylądują, nie będzie mogła mu pomóc.

- Nie ruszaj się, Michael - powtórzyła, gdy krzyki Billa przerodziły w jęk skargi.

- Nic mi nie jest.

- Sama to ocenię, jak już wylądujemy. Siedź i się nie ruszaj.

- Nieźle mi przywalił jak na faceta w takim stanie -mruknął Michael, miękko osuwając się na podłogę. Świat wokół niego zawirował. - Chyba

się trochę zdrzemnę. Obudź mnie, kiedy śliczna stewardessa przyniesie mi orzeszki.

I stracił przytomność. Alek obejrzała się, ale wiedziała, że ktoś musi przecież wylądować.

W momencie, gdy cessa zatrzymała się na pasie, Alek przeciskała się między dwoma fotelami na jej tył. Spojrzała na Michaela i zaświeciła mu w oczy latarką; źrenice reagowały prawidłowo. Założyła mu kołnierz ortopedyczny na szyję i zajęła się Billem, który - rzecz nie do uwierzenia - słodko spał. Uśmiechnęła się z ulgą i odsłoniła ranę, mruczając pod nosem:

- Omal nie rozwaliałam przez ciebie samolotu. Rana wyglądała paskudnie, ale krwawienie ustało;

w szpitalu wyrównają brzegi rany, oczyszczą jamę brzuszną i zostawią sącdek. Wciąż gorączkuje, biedak.

- Widzę, że było ciekawie - odezwał się Dymitr, wchodząc do środka samolotu i przywołując dwóch noszowych.

- Operacja przebiegła pomyślnie, za to droga powrotna... Powiedzmy, że nie obyło się bez atrakcji.

- Zerknęła na Michaela i pokręciła głową. - Też miał chłopak przeżycia.

- Coś poważnego?

- Raczej nie. Nasz pacjent trochę się rozdokazywał i Michael oberwał po głowie.

- Gdybyś pilotowała jak należy, nie rąbnąłbym o ścianę - skomentował Michael z zamkniętymi oczami.

Alek uśmiechnęła się do Dymitra.

- Uderzył się w głowę, to i gada od rzeczy - zażartowała, siadając przy Michaelu.

- A ty gadasz przez sen - zrewanżował się Michael, otwierając oczy i dotykając kołnierza.

- Powiniennem tego słuchać? - zagadnął uprzejmie Dymitr.

Na pokład samolotu wbiegła Maggie.

- Zabieram go na stół - oznajmiła. - Z Michaeliem wszystko w porządku?

- Przeżyje, ale nie wróżę mu kariery pięściarskiej - odparła Alek wesoło, delikatnie dotykając jego policzka. Pojawił się obrzęk i zasinienie.

- Należy mi się medal za wybitne zasługi - mruknął, próbując się podnieść.

- Żadnego wstawania - powiedziała Alek, powstrzymując go łagodnie.

- Nie wcześniej, niż zdejmemy kołnierz, a zdejmemy go dopiero wtedy, kiedy obejrzymy zdjęcia rentgenowskie. Pojedziesz do szpitala na noszach, jak każdy inny pacjent.

Maggie uścisnęła lekko ramię syna i pobiegła za dwoma Eskimosami, którzy wieźli Billa do terenówki pełniącej funkcję karetki.

- Pomogę jej - odezwał się Dymitr, ruszając za Maggie.

- Boi się ciebie - stwierdziła gniewnie Alek, spoglądając na Michaela.

- Kiedy ty naprawdę mówisz przez sen. I przytulasz się. Prawdę mówiąc, to całkiem przyjemne. Nikt się tak do mnie nie przytulał, odkąd...

- Majaczysz - stwierdziła ze współczuciem.

- Mogę na ciebie liczyć?

Uśmiechnął się opuchnięty.

- Marne szanse - zaśmiała się.

- Jestem twoim pacjentem i potrzebuję pomocy lekarskiej. O tu, na przykład. Bardzo mnie boli - oznajmił, dotykając policzka.

- A jak lekarz może pomóc na taką dolegliwość? Delikatnie dotknął jej ust.

- Na początek wystarczy to.

- Bierzesz mnie na litość, żebym cię pocałowała? Przewrócił oczami i uśmiechnął się przekornie.

- Tak.

- Nie jesteś zbyt bezpośredni?

- Owszem, ale to byłoby najlepsze lekarstwo. Poczulem się lepiej od samego myślenia o nim. - Znowu dotknął jej ust. - O wiele lepiej.

- Ale tylko jeden całus?

- Najpierw jeden, a potem kolejne, w miarę leczenia.

Dobry Boże, ależ chciała go pocałować, ale zaczęłoby się od jednego niewinnego całusa, a skończyło na złamanym sercu. On stąd wyjedzie, ona tu zostanie i co dalej? Mogłaby tylko za nim płakać. Wykluczone.

Spojrzała na Michaela, którzy przymknął oczy i czekał z rozmarzoną miną.

- Jesteś bardzo przekonujący - szepnęła. Pieszczotliwym gestem dotknęła jego opuchniętej

twarży i pocałowała go delikatnie. To był ostrożny, nieśmiały pocałunek, za który nagrodził ją westchnieniem.

- Nie powinniśmy - wyszeptała.\

- Czasami najpiękniejsze i najcenniejsze jest właśnie to, czego robić się nie powinno - odparł, zdejmując kołnierz i drżącą ręką pogłaskał ją po policzku.

Wbrew głosowi rozsądku pocałowała go jeszcze raz, lekko i łagodnie. Michael nieznacznie przechylił głowę i nie otwierając oczu, wskazał swoje usta.

- O tu... Tu też mnie trochę boli. Pocałowała go i chciała się odsunąć, lecz Michael

delikatnie przytrzymał jej głowę. Pocałunek przestał być taki delikatny i taki nieśmiały. Alek odwzajemniła go z pasją, jakiej doświadczała po raz pierwszy. Uświadomiła sobie, że czerpie z tego większą przyjemność, niż powinna i dopiero wtedy oderwała się od Michaela. Uniosła rękę do obrzmiałych ust i omal nie jęknęła.

- Z-zobaczę, co z tymi noszami - wyjąkała i uciekła.

Wybiegła z samolotu i oparła się plecami o zimny metal. Zamknęła oczy i starała się zapomnieć o tym, co wydarzyło się przed chwilą, jednak nic nie było w stanie uciszyć gorączkowo bijącego serca.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

- Nic mu nie będzie - powtórzył Dymitr, siadając przy Alek i obejmując ją ramieniem. - Maggie go zbadala, kiedy ja byłem przy Billu. Michael jest tylko obolały. Nie ma żadnych złamań. Do wesela się zagoi.

- A amnezja? - spytała z cichą nadzieją, że niczego nie będzie pamiętała. Ten pocałunek... To nie powinno było się stać i więcej się nie powtórzy.

- Czyja? Twoja? Chciałabyś o czymś zapomnieć?

- Raczej o kimś.

- Ach, moja mała Aleksandra doświadcza problemów sercowych. A już zaczynałem tracić nadzieję. Ale jeśli ten młody człowiek choć trochę przypomina moją Maggie, to wcale nie jestem zdziwiony, że się w nim zakochałaś.

- Ja? Zakochana? Ależ skąd!

- Nigdy nie umiałaś kłamać i nigdy nie dałem ci się nabrać. -

Uśmiechnął się. - Zawsze masz taką poważną minę, a kiedy kłamiesz, robisz się jeszcze poważniejsza. Wystarczy na ciebie spojrzeć, tylko stoisz i wyłamujesz palce. I marszczysz czoło. Przestań, bo wiesz, co będzie?

Alek roześmiała się. Powtarzał jej to, odkąd była małą dziewczynką.

- Zerwie się lodowaty wiatr aż z Arktyki i już mi tak zostanie?

- I co na to powie twój młody człowiek?

- To nie jest „mój” młody człowiek, Dymitr.

- Ale chciałabyś, żeby był twój?

- Łatwiej się nie angażować. Życ w błogiej obojętności, bez łez, zmartwień, głowy w chmurach. Prawda jest taka, że może i chciałabym się zakochać, ale na pewno nie w Michaelu. Jest u nas przejazdem, nic go tu nie trzyma. Nie zostanie na Alasce, więc mamy o czym mówić.

- Mogłabyś z nim wyjechać. Myślałaś o tym?

- Nigdy stąd nie wyjadę. Chyba że mnie wyrzucisz.

- Może powinienem. Czasem mi się wydaje, że jesteś tutaj z zupełnie niewłaściwych powodów. Alaska to dla ciebie idealna kryjówka.

- Kocham moje życie. Nie zamieniłabym go na żadne inne i Michael nie ma tu nic do rzeczy. Tu chodzi o mnie.

Mówiła prawdę, jednak i Dymitr miał trochę racji. Życie na odludziu pozwalało jej uniknąć uczuciowych rozterek i do niedawna była z tego zadowolona.

- Ha! Tylko czy po wyjeździe Michaela wciąż będziesz taka zakochana w Alasce?

Alek usiadła po turecku i wpatrzyła się w okno; na dworze znowu przyszył śnieg.

- Dobrze mi tutaj. - Zaśmiała się cicho. - Oczywiście „dobrze” to pojęcie względne.

- Więc czemu chcesz tu zostać? Wiem, że kochasz tę pracę, ale gdzie indziej mogłabyś robić to samo. To przeze mnie? Nie chcesz mnie opuścić?

A gdybym przeszedł na emeryturę i przeprowadził się w jakieś cieplejsze miejsce, może na Florydę, pojechałabyś za mną?

- Nie przeprowadzisz się na Florydę.

- Kto wie? Moje życie się zmienia. Może Maggie wolałaby cieplejszy klimat.

Alek milczała. Rozmyślała, jakie byłoby jej życie bez Dymitra.

- Zostałabym - odrzekła szczerze. - Tęskniłabym za tobą przeokropnie, często bym was odwiedzała, ale zostałabym tutaj. Tu jest moje miejsce, Dymitr.

- Cóż, i tak nie chciałbym dożyć moich dni cały lepki i spocony - mruknął Dymitr. - Mimo to wiele rzeczy się zmieni, Aleksandro. W moim życiu, w twoim... Łatwiej było mi cię przed nimi bronić, kiedy byłaś ma-lutka. Może nie powinienem był trzymać cię pod kloszem, ale teraz jesteś już dorosła. Nie mogę dłużej cię osłaniać.

- Bo pojawiła się Maggie?

- W moim wieku człowiek nie ma czasu na rozmyślanie. Trzeba działać, dopóki nie będzie za późno.

- A te pieniądze? - spytała. - Te czeki? Michael uważa cię za naciągacza, który próbuje wydrzeć jego matce oszczędności.

- Jest dobrym synem. Na jego miejscu czułbym to samo.

- Czyli nic mi nie powiesz?

- Maggie prosiła mnie o zachowanie tajemnicy, a ja dałem słowo. Nie każ mi wybierać. Nie chcę nikogo ranić.

- Mnie?

- Kocham cię jak nikogo, ale tu nie chodzi wyłącznie o ciebie. Po tylu latach samotności dobrze jest mieć kogoś przy sobie. Czego i tobie życzę.

- Nie znam jej dobrze, ale ją lubię.

- Nie mówię o Maggie. Dla niej też pewnie znajdzie się miejsce w twoim sercu, ale mam na myśli Michaela. Wie, że mówisz przez sen, a to już chyba coś znaczy?

Po wyjściu Dymitra Alek jeszcze długo zastanawiała się nad jego słowami. Może to rzeczywiście miłość, przed którą uciekała? Wprawdzie miała za sobą kilka luźnych związków, ale nigdy...

- Chce cię zobaczyć - rzekła Mariska, wychylając głowę zza drzwi. - Ten przystojny doktor prosi, żebyś do niego przyszła. Sama bym chciała, żeby taki przystojniak nie mógł się mnie doczekać. Mam mojego Iwana, ale nie powiedziałabym, że jest zabójczo przystojny... - Uśmiechnęła się ciepło. - No, na swój sposób może i jest. Ale do twojego faceta nawet się nie umywa.

- Powiedz mu, że się postaram, jeśli znajdę wolną chwilę.

- Udajesz niedostępną?

- Nie. Naprawdę nie chcę dać się zdobyć - odparła z ciężkim westchnieniem.

- A to taka frajda? Racja. To żadna frajda.

- Dziękuję, że się fatygowałaś - odparła, starając się, aby nie zabrzmiało to zbyt oficjalnie.

Chciała zostać sama. Po prostu. Mariska pojęła aluzję i bezgłośnie zamknęła drzwi. Alek siedziała sama w półmroku. Tak jest lepiej. Może nie najłatwiej, ale lepiej.

- A pieniądze? - spytał gniewnie Michael. - To też nie moja sprawa?

- Lepiej pilnuj swoich, z moimi sama sobie poradzę. Tak będzie znacznie prościej. - Maggie przysunęła krzesło bliżej łóżka. - Jeszcze nie zdziecinniałam. I nie jestem niepoczytalna, w przeciwieństwie do ciebie.

- To nie jest normalne - stwierdził, siadając na łóżku, tak aby lepiej widzieć drzwi. Może Alek zaraz przyjdzie.

Minęły godziny, odkąd o nią pytał, dotąd jednak zaglądała do niego tylko pielęgniarka. No owszem, widział jeszcze staruszka, który człapał korytarzem w puchatych futrzanych buciorach i w szpitalnym fartuchu, holując za sobą balkonik zamiast się na nim opierać.

- Alaska to nie raj dla emerytów, nie uważasz? - zrzędził.

- Jeszcze nie przechodzę na emeryturę. Dobrze mi się pracuje z Dymitrem, myślę, że z Alek będzie mi się pracowało podobnie.

- Przecież jesteś...

- Stara? - przerwała. - Twoim zdaniem za stara, żeby pracować?

- Cholera jasna. Wcale nie uważam, że jesteś stara. Ale myślę, że jeszcze się nie otrząsnęłaś po śmierci taty. Mam prawo się martwić, że się w coś pakujesz...

- Pracuję w swoim zawodzie, w małym szpitaliku, w którym jestem naprawdę potrzebna. To nazywasz pakowaniem się w coś, w co nie powinnam? - Zniecierpliwiona potrząsnęła głową. - Wiem, że dobrze mi życzysz, ale to moje życie, a ja nigdy nie podejmuję decyzji pochopnie. Chcę być z Dymitrem. - Jej głos nabrał przedziwnej łagodności. - A Dymitr chce być ze mną.

- I z twoimi pieniędzmi - zachnął się.

- Wiesz co, Michael? Wracaj do domu. Zaczynij żyć własnym życiem, zamiast interesować się moim, bo podjęłam decyzję i jej nie zmienię. Doceniam twoją troskę, ale to nie znaczy, że masz prawo mieszać się w moje sprawy. - Wstała i pocałowała go w czoło. - Jesteś świetnym lekarzem, ale nie samą pracą człowiek żyje.

- Ognista kobieta - zauważył Dymitr, wchodząc do sali parę chwil po wyjściu Maggie. - Zupełnie jak Alek. Uparta, pomysłowa, z pasją.

- Zaczynałem wątpić, czy kiedykolwiek się poznamy - odparł Michael sztywno.

- Gdyby twoja matka postawiła na swoim, to nie mielibyśmy okazji porozmawiać. A Alek tylko by jej przyklasnęła. Nasze panie spiskują, żebyśmy się nie poznali. Ale to było nieuniknione. Będę odtąd w życiu Maggie, a więc pośrednio i w twoim.

- Jako ten, na kogo moja matka wypisuje wszystkie czeki.

- Owszem, ale zapewniam cię, że jest inaczej, niż myślisz.

- Jakbym słyszał Alek. Powtarza mi, że jest inaczej, niż myślę, ale nie raczy mi powiedzieć jak. Mam prawo uważać, że pan wykorzystuje moją matkę.

- Próbujesz ją chronić jak każdy dobry syn.

- Widać nie dość dobry, skoro chce, żebym stąd wyjechał.

- A ja proszę, żebyś został. Michael szczerze się zdziwił.

- Po co? - spytał, podejrzliwie mrużąc oczy. - Czemu akurat pan o to prosi?

- Nie chcę wchodzić między ciebie a twoją matkę. Moim zdaniem oboje potrzebujecie czasu, żeby rozwiązać swoje problemy.

- Pan jest moim jedynym problemem.

- Twoim jedynym problemem jest to, że twoja matka próbuje żyć własnym życiem. Po śmierci żony przez długi czas nie zrobiłem nic. Nie chciałem niczego zmieniać, ale było coś, co nie pozwoliło mi zamknąć się w sobie. A właściwie ktoś. Więc wróciłem do życia. Nie było łatwo, bo straciłem kogoś, kogo kochałem całe lata, twoja matka wie, jak to jest, ale miałem szczęście, bo została mi Alek. Maggie na szczęście ma ciebie. Ale wspierać kogoś a próbować kimś zawładnąć to dwie różne rzeczy. Wiem, że robisz to z miłości i jestem przekonany, że jeśli dostatecznie długo będziesz ją przekonywał, złamie się i wyjedzie z tobą. Być może dla ciebie tak byłoby najlepiej, ale czy byłoby to najlepsze dla twojej matki?

Michael próbował wzbudzić w sobie nienawiść do Dymitra, jednak już zaczynał go lubić. Rozumiał, co matka w nim widzi: spostrzegawczego, ciepłego i szczerego do bólu człowieka.

- Pożyjemy, zobaczymy - odparł w końcu.

- Ze względu na Maggie i na Alek mam nadzieję, że jakoś się dogadamy.

- A co Alek ma tu do rzeczy?

- Kochasz ją.

- Skąd taki pomysł? - spytał Michael, nie wiedząc, jak zareagować.

- Spędziłeś z nią trochę czasu. Jest piękna, inteligentna, utalentowana.

- Dymitr zaśmiał się. - Ty za to wyglądasz mizernie. Co to może być, jeśli nie miłość?

- Trzy dni. To za krótko na miłość. Zresztą nawet gdybym się w niej zakochał, niczego by to nie zmieniło. Alek mnie nie pokocha. Nie chce się z nikim wiązać i tak steruje swoim życiem, aby to jej nie groziło.

- Może i masz rację. Ale to, co naprawdę cenne, nigdy łatwo nie przychodzi. - Uśmiechnął się serdecznie. - Alek bardzo mnie kocha, ale wiedz, że latami pracowałem na jej uczucie. Trwało to bardzo długo, ale warto było czekać. Zrozumiałem to, kiedy pierwszy raz wdrapała mi się na kolana. Alek nie ma łatwego charakteru, Michael, ale warto na nią czekać, choć nie sądzę, żebyś musiał czekać długo. - Stał w drzwiach i dodał jeszcze: - Gdybyś przypadkiem postanowił wypisać się stąd na własne życzenie, radziłbym ci iść prosto do przytulnego małego domku przy drodze. Mieszka tam pewna ognista rosyjska lekarka, o którą warto powalczyć.

- Obawiam się, że w tym przytulnym domku natychmiast zaczęłoby zionąć lodem.

- Nawet lód można stopić, jeśli jest się cierpliwym.

Zaledwie w korytarzu ucichły kroki Dymitra, Michael zerwał się z łóżka, ubrał się i pobiegł do najbliższego wyjścia. Alek udaje, że go nie zauważa, matka się na niego złości, Dymitr daje dobre rady. W normalnej sytuacji wskoczyłby do dżipa i wyjechał stąd, aż by się kurzyło, a tych troje pozostawił samym sobie.

Jednak coś mu nie pozwalało: wspomnienie krótkiej rozmowy w samolocie, przebłysk prawdziwej Alek i już wiedział, czego chce. Pierwszy raz w życiu.

- Tylko proszę mi się nie przyzwyczajać do takiego wikt - oznajmiła Alek, stawiając na ziemi blaszane miski.

Psi obiad składał się z mieszanki najróżniejszych smakołyków, które trafiały do zamrażalnika z przeznaczeniem na „szybką” kolację, i które potem podgrzewała w wielkim garnku. Psy przymilały się do niej i lizały ją po rękach.

- Nie wszystkim psom jest tak dobrze - oznajmiła, głaszcząc swoje zwierzaki.

- Znam ludzi, którzy jedzą gorzej - zauważył Michael, stając w tylnych drzwiach jej domu.

- Myślałam, że zatrzymają cię na noc w szpitalu.

- A ja myślałem, że do mnie przyjdiesz. Czekałem.

- Byłam zajęta.

- To dobrze, bo dzięki temu mogłem porozmawiać z Dymitrem. Całkiem miły gość.

Spojrzała na niego z ukosa.

- I obeszło się bez rękoczynów? Twoje szczęście, bo Dymitr spokojnie by sobie z tobą poradził. Niedawno, oberwałeś, więc może się nad tobą ulitował - powiedziała lekkim tonem, zaskoczona jego poważną miną. - Więc zmieniłeś o nim zdanie?

- Być może. Z matką też rozmawiałem, a przynajmniej próbowałem. Ale powiedziała mi tylko, że to nie moja sprawa.

- To samo usłyszałam od Dymitra. I w moim poczuciu to zamyka kwestię.

- Czyli mogę już jechać. Wracać do Seattle, do pracy. Zapomnieć o wszystkim.

- Jeśli tego chcesz. Uciekła przed nim do salonu.

- Pocałowałaś mnie, Alek. Jak mam to rozumieć? Że mnie tu nie chcesz? Odniosłem inne wrażenie.

Wzruszyła ramionami.

- To był impuls. Uległam nastrojowi chwili.

- Tylko tyle to dla ciebie znaczyło?

- Tylko tyle - skłamała i odwróciła się, zanim zdradzi ją wyraz twarzy.

- Nie róbmy z tego wielkiego halo.

- Wiesz, że Dymitr chce, żebym został?

- On ci to powiedział? - spytała, podchodząc do okna i patrząc na opustoszałą ulicę.

- To i parę innych rzeczy.

- Cały Dymitr, zawsze był z niego straszny gaduła - odrzekła, obracając się twarzą do Michaela. - A słucham go, odkąd skończyłam siedem lat.

Uśmiechnęła się z czułością.

- Byłaś taka mała, kiedy wziął cię do siebie? Nie wiedziałem...

- Z jego pomocą przyszłam na ten świat, to on odebrał poród. Był pierwszą osobą, jaka mnie zobaczyła i wciąż bezwstydnie mi o tym przypomina, kiedy czegoś chce.

Może rozpalić w kominku? Czowała, że musi znaleźć dla rąk jakieś zajęcie. Krzątając się po pokoju, przypominała sobie, co zawsze powtarzał Dymitr: najpierw cienkie szczapki, a dopiero potem te wielkie. Zupełnie jak w życiu: od małych spraw do wielkich.

- Powiedz mi coś o sobie - poprosił Michael. - Ja byłem wobec ciebie szczery, a sam wiem o tobie tylko tyle, że jesteś...

- Dziewicą? Miałam nadzieję, że o tym zapomniłeś. Tak jak o tamtym pocałunku - odparła szczerze.

- Dlatego boisz się zaangażować? Bo jeszcze z nikim...

Potrząsnęła głową.

- Wierz mi, Michael. Mam wiele powodów, ale fakt, że z nikim nie spałam, do nich nie należy.

- No to w czym rzecz? Czemu jesteś taka chłodna? Wydajesz się samotna, a zaledwie ktoś próbuje się do ciebie zbliżyć, uciekasz jak przestraszona sarna.

Ułożyła drwa w zgrabny stosik, wsunęła pod nie podpałkę i rzuciła na nią płonąca zapalnik. Kiedy drwa zajęły się ogniem, odeszła od kominka i przykręciła termostat, a potem spojrzała na Michaela.

- Moja matka była „żoną z katalogu”. Można powiedzieć, że mój ojciec sprowadził ją tutaj na specjalne zamówienie. Była prostytutką. Marzyła o wyjeździe do Stanów, ale nie na Alaskę. Wyjechała, zanim wyrosłam z pieluch. Ojciec nie chciał mieć rodziny, chciał tylko kobiety, która grzałaby mu łóżko w długie zimne noce. Pływał lodolamaczem, któregoś razu popił sobie z kolegami i wypadł za burtę, a ja zostałam sierotą. Albo półsierotą, bo matka nie umarła, tylko mnie opuściła. Nie wiem, nazywaj to, jak chcesz. Przygarnął mnie Dymitr z żoną. Olga nie chciała mnie adoptować, bo pochodziłam z podejrzanej rodziny. Była prawdziwą damą, a ja dzieckiem prostytutki, która wyszła za zapijaczonego marynarza. Nic dziwnego, że mnie nie chciała. - Przez chwilę szukała właściwych słów. - Dymitr nie

zna prawdy o Oldze i bardzo cię proszę, żebyś nic mu nie mówił. Chyba pękłoby mu serce.

- Obiecuję - powiedział miękko.

- Był dla mnie taki dobry, nawet kiedy zachowywałam się okropnie.

Nie miał mi za złe tego, jacy byli moi rodzice. I to już cała moja smutna historia. Alek Sokołow boi się odrzucenia i ucieka przed ludźmi, żeby nie mogli jej zranić. Może nie zawsze jestem szczęśliwa, ale dzięki temu moje życie jakoś toczy się dalej.

Nie poznawała własnego głosu, był taki zdławiony i dziwny. Gdy skończyła, poczuła się wyczerpana, uczuciowo i fizycznie. Chciała się tylko położyć, nakryć kocem i czekać, aż Michael zniknie z jej życia raz na zawsze.

- Poznałeś moje najmroczniejsze, najpilniej skrywane tajemnice, więc możesz już wyjeżdżać. Nie mogę ci zabronić dręczyć Dymitra, ale nie pozwolę, żebyś oczerniał go w moim własnym domu. - Pokazała mu drzwi. - Wyjdź.

Minęła godzina, lecz Alek wciąż czekała na ryk silnika. Dwa razy wstawała z łóżka i wyglądała przez okno, ale dżip Michaela w dalszym ciągu stał obok jej auta. Na co on jeszcze czeka? Na kolejną wstydliwą tajemnicę z jej życia? Cóż, więcej w zanadrzu najzwyczajniej nie ma.

Może nie rozegrała tego najlepiej. Może trzeba było opowiedzieć mu o wszystkim przy herbacie. „Ach, Michael, byłabym zapomniała. Wiesz, moi rodzice...”

Dzięki Dymitrowi osiągnęła w życiu nadspodziewanie dużo, jednak temat rodziców wciąż był dla niej bolesny. Pamiętała docinki dzieci ze szkoły i strach Olgi, że kiedy dorośnie, będzie taka sama jak matka. Dlatego Olga nie zgodziła się, kiedy Dymitr chciał ją adoptować.

Sama nie wiedziała, czemu opowiedziała o wszystkim Michaelowi, ale chciała być wobec niego absolutnie szczerą i po raz pierwszy pragnienie to przeważało nad strachem. Michael zasługuje na pełną szczerą, nawet jeśli to niczego nie zmienia. Zamknęła oczy i czekała, ale sen nie nadchodził. W końcu westchnęła, wstała i zaczęła krążyć po sypialni.

- Dreptanie w kółko nie sprawi, że pojedę - usłyszała głos Michaela.

Nie odpowiedziała.

- Możesz tak dreptać przez całą noc, ale rano i tak na mnie wpadniesz.

Chyba nie będziesz próbowała uciec przez okno?

Milczała uparcie.

- Jeśli sądzisz, że jesteś jedyną osobą na świecie, która ma problem z rodzicami...

Otworzyła drzwi salonu i spiorunowała go wzrokiem.

- Nie nazwałabym tego „problemem z rodzicami” - powiedziała z rozdrażnieniem.

- Owszem, to jest problem, skoro z ich powodu czujesz się mniej wartościowa. To nie geny rządzą twoim życiem, ale ty sama, Alek. Nie znam bardziej wartościowej osoby. Jesteś silna, silniejsza, niż myślisz. Ale kiedyś to zrozumiesz, kiedyś naprawdę w to uwierzysz i przestaniesz sobie wmawiać, że nie zasługujesz na miłość.

- Jesteś psychiatrą? Chcesz poddać mnie psychoanalizie? Tracisz tylko czas, Michael. Chodziłam na terapię. Wiem, co mi dolega i radzę sobie, jak umiem najlepiej. Zadowolony? Wywodzę się z szalonej barwnej rodziny i leczyłam się psychiatrycznie. Śmieszne, nie uważasz?

- Olga cię nie chciała? To jej problem. Dymitr traktuje cię jak córkę. Czego jeszcze od siebie chcesz? Jesteś inteligentna, piękna, pracowita, masz kogoś, kto cię uwielbia.

Alek uśmiechnęła się blado.

- On jeden zawsze mnie kochał, mimo że zmieniłam jego życie w piekło. Przez mnie ciągle kłócił się z Olgą.

- Nie mówiłem o Dymitrze - powiedział miękko.

- Przestań! - zawołała. - Nie możemy...

- Czego nie możemy?

- Michael, przyznaję, pociągasz mnie. Może nawet coś do ciebie czuję, ale...

- Może?

- Dobrze, na pewno. Ale nie chcę się angażować. Nie teraz. Może nigdy nie będę chciała. To zbyt trudne.

- Tylko tak mówisz. Pamiętam, jak mnie całowałaś.

- Raz cię pocałowałam i już wszystko o mnie wiesz?

- Tak. Bo to był pierwszy raz, kiedy dałaś mi coś z siebie.

- Nie pochlebiaj sobie, to nic nie znaczy. Pocałunek to tylko pocałunek.

- To coś znacznie więcej: przez chwilę nie próbowałaś niczego udawać, odsłoniłaś się przede mną. A to, co mi opowiedziałaś o swoich rodzicach...

- Chciałam, żebyś mnie zrozumiał.

- Żebyś co zrozumiał? Że w swoim mniemaniu nie zasługujesz na miłość? A równocześnie umierasz ze strachu, że nikt cię nie pokocha? Ludzie cię pokochają, ale musisz im na to pozwolić. Musisz przestać nas od siebie odpychać.

Podszedł bliżej i wziął ją w ramiona. Nie ufała mu, ale potrzebowała czułości, nawet gdyby miała okazać się tylko złudzeniem. I zanim się spostrzegła, objęła go za szyję i wtuliła twarz w jego koszulę.

- Ojciec mówił, że moja matka nie chciała mieć dzieci - szepnęła - że odeszła, bo się urodziłam. Zniszczyłam ich małżeństwo, przeze mnie ojciec się rozpił i zginął. Mało brakowało, a małżeństwo Dymitra też by się rozpadło.

- Byłaś dzieckiem, Alek. Oni byli dorośli i ich decyzje, nawet te złe, nie miały z tobą nic wspólnego, ale z ich pragnieniami, potrzebami. To nie była twoja wina! To nigdy nie była twoja wina! - Jeszcze mocniej oplótł ją ramionami. - Ty chcesz miłości, moje biedne kochanie. Dlatego tak bardzo się przed nią bronisz. Tęsknisz do niej, a kiedy jest na wyciągnięcie ręki, uciekasz, wmawiasz sobie, że na nią nie zasługujesz. A ona jest tuż-tuż, tylko przestań uciekać.

Zesztywniała, ale nie wysunęła się z jego objęć.

- Chcę czuć, że jestem tam, gdzie moje miejsce - szepnęła. - Nic więcej.

- Ja chciałem być lepszym synem dla mojego ojca, ale wtedy nie umiałem. Odwiedziłem go w szpitalu, był umierający, ale odesłał mnie, bo byłem tak naćpany, że ledwie widziałem na oczy. Powiedział, żebym się nie pokazywał, dopóki nie rzucę tego świństwa, że moja matka zasługuje na lepszego syna i zakazał mi się do niej zbliżyć.

- Tak mi przykro...

- Mnie też było przykro. Dokonałem w życiu wielu złych wyborów. Mój ojciec też mógł wtedy postąpić inaczej, ale po prostu nie umiał. Nie tego obaj chcieliśmy, ale stało się i już nikt nie zdoła tego cofnąć.

- Zmarł, zanim zdążyłeś się z nim pogodzić? Michael przytaknął.

- Kiedy rodzice najbardziej mnie potrzebowali, byłem na odwyku. I raz się zламаłem, Alek. Wróciłem do pracy, udawałem, że wszystko jest w porządku, ale nie wytrzymałem. Wziąłem jedną tabletkę, tylko po to, żeby zasnąć. Ale nie mogłem zasnąć, bo wciąż słyszałem, jak krzyczy, żebym nie zbliżał się do matki. Nie żył od sześciu tygodni, a ja wciąż słyszałem jego głos. Rano wróciłem na odwyk. I zrozumiałem, że są rzeczy, których nie da się zmienić. Trzeba je przeboleć i żyć dalej, nawet jeśli popełnia się błędy i źle wybiera.

- Raz wzięłeś i od razu wróciłeś na odwyk?

- Jedna tabletkę, potem druga, potem dwie. Nie chciałem więcej tego przeżywać.

- I postanowiłeś, że będziesz odtąd wzorowym synem, choćby nie wiem co? - spytała z bladym uśmiechem. Zachichotał.

- Nawet jeśli moja matka wolałaby co innego.

- A co z nami, Michael? - spytała, odsuwając się. - Znamy swoje tajemnice, ale to niczego między nami nie zmienia. Ty masz swoje problemy, ja swoje. Po co wdawać się w coś, co może przysporzyć nam udreki?

- Udreka? Czy to nie za mocne słowo, Alek? Na litość boską, wycho-
dzą z siebie, żeby coś wymyślić, a ty mówisz, że to nie ma sensu?

- Więc przekonaj mnie, że ma, Michael.

- Kocham cię, Alek. Naprawdę cię kocham. - Czekał na odpowiedź, na
zapewnienie, że ona go też kocha, lecz się nie doczekał. - Co mogę powie-
dzieć więcej?

- Urlop ci się kończy - przypomniała cicho i wyszła. W sypialni, po raz
pierwszy od śmierci ojca, rozplakała się. Płakała i nie mogła przestać.

RS

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Tak będzie najwygodniej, postanowił. Wróci dzi-pem do Nome, wsia-
dzie w pierwszy pociąg do Anchorage i wieczorem będzie w Seattle. A ra-
no...

Jeszcze nie przemyślał sobie wszystkich szczegółów, ale zdążył już
zadzwoić do prawnika, który miał zająć się sprawą rozwiązania wszyst-
kich podpisanych przez niego kontraktów. Uczynił pierwszy krok. Drugim
będzie powrót do Elkhorn i walka o serce Alek. Zaśmiał się cicho: będzie
musiał walczyć o Alek... z samą Alek. Był podekscytowany - nowe życie,
nowa praca i nowa miłość, o którą warto walczyć, w to bowiem, że Alek
bez walki się nie podda, ani przez chwilę nie wątpił.

Gdyby bodaj wspomniał przy niej o swoich zamiarach, wściekłaby się,
popukała w czoło albo uciekła. Więc nie pisał słowa, ale wkrótce wszyst-
ko jej powie: że przyjeżdża do Elkhorn, aby zostać w nim na stałe, i że
włoży w ich związek wszystko, całe serce, całą duszę i tyle uporu, ile bę-
dzie konieczne, aby uwierzyła, że są sobie pisani. Ona też go kocha, wie-
dział to, choć sama nie chciała albo bała się do tego przyznać.

- Mogę czekać w nieskończoność, Alek - mówił półgłosem, pędząc oblodzoną drogą na pełnym gazie. - Mam mnóstwo czasu i będę miał i ciebie. I pracę, jaką zawsze powinien być mieć. Powalczy – oczywiście z błogosławieństwem Dymitra - o rękę Alek i o pracę w szpitalu Romonowa, mimo że wciąż miał wątpliwości co do sprawy czeków. Będzie mu musiał po prostu zaufać, tak jak zaufał Alek, dzisiaj jednak ta perspektywa wcale go nie przerażała. Był pełny wiary w swoje nowe życie z Alek, na Alasce, gdzie ich miejsce.

Alaska. Kolejne wyzwanie. Jednego był pewny

- zmierzy się z nią wyposażony w lepsze mapy niż za pierwszym razem. Z drugiej strony, gdyby nie kiepska mapa, nie poznałby Alek.

Podniósł wzrok znad drogi: w oddali majaczyła przełęcz Baranowa. Ożeni się z Alek. Ona jeszcze o tym nie wie, ale on był tego pewny. Nie od razu, ale jednak się zgodzi. Jeszcze nie wiedział jak, ale z czasem ją przekona...

Tam w górze. Jakieś poruszenie. Przymrużył oczy oślepiiony słońcem, które odbijało się od tej wielkiej bryły śniegu, i dopiero po chwili zrozumiał, na co patrzy. Lawina! Wielka masa śniegu zsuwała się łagodnie, zupełnie inaczej, niż sobie wyobrażał. Niemal jak fala... wielka, biała fala spływająca ze stromizny i przelewająca się nad przełęczą. Przez moment jak urzeczony wpatrywał się w śnieżną falę, nabierając coraz większego impetu, potem wrzucił jedynekę, zawrócił i pomknął w kierunku, z którego przyjechał.

A lawina potężniała z każdą chwilą.

- Zawieź panią na prześwietlenie - mówiła Alek do pielęgniarki. - Ale ten łokieć wygląda mi raczej na stłuczony niż złamany.

Ludmiła Popowicz zrobiła oburzoną minę.

- To jest złamanie, młoda damo. Czuję to, w końcu to moja kość.

Niemal dziewięćdziesięcioletnia Ludmiła była zdrowsza od niejednej czterdziestolatki, dzisiaj rano jednak miała mały wypadek: pośliznęła się na lodzie i upadła. Oczywiście zaraz potem poszła do sklepu, następnie zacerowała parę wełnianych ocieplaczy na buty, a dopiero później wstąpiła do szpitala.

- I załóżcie mi temblak. Nic innego nie pomaga.

- Oczywiście. - Alek uśmiechnęła się do staruszki. Życie wróciło do normy i cieszyłaby się z tego, gdyby już nie tęskniła za Michaeliem, ale pocieszała się, że to minie. Gdy została sama, wyjrzała przez okno - w momencie, gdy dżip Michaela zaczął hamować przed szpitalem i zatrzymał się na latarni.

- Co do...?

Rzuciła kartę Ludmiły i wybiegła z gabinetu. W korytarzu wpadła na Michaela.

- Co ty wyprawiasz? - spytała zdumiona.

- Lawina!

- Gdzie?

- Na przełęczy Baranowa - odparł, z trudem łapiąc oddech.

- Jesteś pewny? - Dopiero teraz się przeraziła.

- Moment temu przywieźli mi stamtąd kontuzjowanego snowboardzistę.

A jeśli inni wciąż tam jeżdżą?

- Mówię, co widziałem.

Alek już biegła do domu Dymitra. Zatrzymała się na ganku i obejrzała się na Michaela.

- Poproszę, żeby ogłosił alarm! - zawołała. - A ty leć do mojego domu i spakuj zestawy ratunkowe, są w szopie za domem. Kiedy to było?

- Mniej niż pięć minut temu. - Kiwnęła głową; nie jest źle, ale za kwadrans przestanie być tak różowo. - Idź!

Odwróciła się i zastukała do drzwi. Nikt nie otwierał, więc weszła do środka i rozejrzała się. . - Dymitr! Maggie!

Nie ma ich, pomyślała zdziwiona. Wiedziała, że Maggie ma za dwie godziny stanąć do operacji, więc powinna być gdzieś niedaleko. Alek wróciła biegiem do domu, rozglądając się za Dymitrem i jego przyjaciółką. Na ulicy nagle zaroilo się od ludzi; organizowali ekipę ratunkową.

- Jadę z pierwszą turą! - zawołała na widok Mariski. - Dzwon do Waltera, niech szuka jakiegoś pilota!

- Już wszystkich obdzwoniłam - odkrzyknęła Mariska, biegnąc za nią.
- Eyanna wisi na krótkofalówce, próbuje ustalić, czy są ofiary!

- Jak zobaczysz Dymitra, powiedz mu, że pojechałam zaprzęgiem i zabrałam Michaela. Niech się stąd nie rusza, przyślemy do niego rannych.

Spojrzała na zegarek: właśnie mija siódma minuta, odkąd Michael zobaczył lawinę.

- Jak tam dotrzemy? - spytał Michael, wyłaniając się z szopy.

Mariska ściągnęła nieprzemakalny pokrowiec z sani i zaczęła na nich układać pudełka z opatrunkami.

- Jechałeś już kiedyś do lawiny? - spytała Alek, zakładając uprzęż psom.

- Owszem, ale nie w pierwszej grupie ratunkowej.

- Ja pojedę zaprzęgiem, a ty wsiadaj na skuter i jedź za mną, tylko zachowaj dystans. Nie znasz drogi.

- Zsunęła z czoła futrzaną czapę i podniosła na niego zatroskane oczy. - Na przełęczy zwykle panują stabilne warunki, ale przy takiej pogodzie nie sposób przewidzieć, co się może wydarzyć. - Podała mu sprzęt.

- Masz, to twój podstawowy ekwipunek: łopata, nadajnik, avalung...

Kamizelka z wmontowanym aparatem oddechowym nierzadko ratowała życie ludziom porwanym przez lawinę, o ile byli w stanie dosięgnąć ustnika, nim zasypały ich tony śniegu.

Zanim Michael wsiadł na skuter, przyciągnął ją do siebie i objął mocno.

- Do zobaczenia na górze.

- Do zobaczenia na górze - powtórzyła, niepewnym gestem przyciągnęła jego twarz i pocałowała go w usta.

Założyła gogle, zasłoniła usta szalikiem, wskoczyła na sanie i pomknęła w kierunku lawinowiska.

- Naprzód! - wydała komendę psom i obejrzała się na Michaela.

Boże, jak ja go kocham, pomyślała.

Uczestniczyła w bardzo wielu podobnych akcjach. Przypominały rosyjską ruletkę: czasami wszystko kończyło się dobrze, czasami nie. Naj-

częściej ofiarą lawin padali ludzie nieobeznani ze śniegiem, niekiedy tacy, którzy wiedzieli o nim bardzo dużo, lecz gubiło ich niedbalstwo, rutyna lub wręcz ryzykanctwo. Poza tym przełęcz stawała się coraz bardziej kapryśna. Na Alasce ociepla się klimat, wielkie bryły lodu odrywają się od lodowca, masywy śnieżne topnieją...

Mamy czas, pocieszała się, gdy psy mknęły na północ, ujadając donośnie.

Obejrzała się: Michael pomachał do niej i zniknął za kępą sosen. Wstrzymywała oddech, dopóki znowu go nie zobaczyła. Czuła, że przepętniają miłość. I kiedy to wszystko się skończy, nareszcie mu o tym powie.

Masywny husky, lider zaprzęgu, zaszczekał ochryple. Alek krzyknęła:
- W prawo!

Psy posłuchały natychmiast i zaprzęg skreślił gładko, omijając drzewo.

Masyw Baranowa zbliżał się powoli, Alek zaś powtarzała w myślach procedury: najpierw próba złapania sygnału radiowego z nadajników lawinowych, potem powierzchniowe oględziny lawinowiska, na koniec metodyczne poszukiwania z sondami lawinowymi.

Zbliżał się potężny cień kładący się u stóp Baranowa, naturalnej granicy między Arktyką a Subarktyką. Jako dziecko Alek uwielbiała tu przyjeżdżać z Dymitrem. Najpiękniej było tutaj po zachodzie słońca, gdy ośnieżone szczyty gór wyglądały niczym oproszone brokatem. Inny świat, na który patrzyła z zachwytem, nie mogąc zrozumieć, jakim cudem śnieg nabiera nagle najróżniejszych odcieni błękitu, różu i złota. Nie chciała wracać na dół.

Dzisiaj przełęcz wyglądała po prostu brzydko i bardzo groźnie. Wiedząc, że dalej muszą iść pieszo, Alek zatrzymała zaprzęg i zeskoczyła z sań. Rozejrzała się i włączyła odbiornik sygnału radiowego; miała nadzieję, że ci, których porwała lawina, mieli dość zdrowego rozsądku, aby nie zapomnieć o zabranii nadajników.

- Jeszcze nie jest źle - stwierdził Michael, podbiegając do niej. - Minął niecały kwadrans, odkąd ją zauważyłem. Gotowa?

Alek posępnie skinęła głową, nie odrywając wzroku od lawinowiska.

- Tam - powiedziała, wskazując kierunek. - Coś wystaje ze śniegu...

-Zamilkła, bo raptem zrobiło jej się słabo.

Michael przycisnął do oczu lornetkę.

-Nie widzę dokładnie. Może kijek narciarski, może deska snowboardowa albo kawałek skutera. W każdym razie coś metalowego i błyszczącego, ale...

Alek już biegła w tamtym kierunku. Spotkali się przy metalicznie lśniącym przedmiocie.

- Skuter - stwierdziła, patrząc na wygiętą płożę, uklękła i zaczęła odgarniać śnieg. - Zaczynj szukać z odbiornikiem, ja spróbuję sondą.

Na lawinowisku panowała nienaturalna cisza. Alek pracowała metodycznie, w skupieniu; nie podniosła wzroku nawet wtedy, gdy usłyszała głosy innych ratowników.

- Nie stracę cię - powiedział cicho Michael, włączając odbiornik. - Wiem, że to nie czas i nie miejsce na takie wyznania, Alek, ale nie zamierzam cię stracić.

- Nie stracisz mnie, Michael - odparła ledwie słyszalnie, nie odrywając się od pracy. - Słowo.

Nagle zobaczyła napis na baku skutera i przerażenie ścisnęło ją za krtań. Żelazny doktor. Skuter Dymitra.

- Złapałeś sygnał? - spytała gorączkowo, ostrożnie wbijając sondę miejsce przy miejscu.

- Nie.

- Czas?

- Kwadrans z małym okładem. Wciąż mają szansę, ale... - Obejrzał się i urwał w pół zdania; Alek była blada jak kreda. - Co się stało?

- Dymitr... - szepnęła, wskazując skuter.

- Jesteś pewna?

Kiwnęła głową, odrętwiała ze strachu.

- Posłuchaj mnie, kochanie. Odnajdziemy ich -mówił Michael, choć wiedział, że za następny kwadrans poszukiwania ocalałych przerodzą się w poszukiwania zwłok. - Musimy przeszukać większy obszar. Po prostu rób swoje i nie myśl za dużo. Rozumiesz mnie, Alek?

- Tak - szepnęła, niczym automat wbijając i wyciągając sondę.

W pobliżu skutera nie znaleźli nikogo. Po dwóch minutach przenieśli się nieco dalej na północ. Przeszukali następne pole, i jeszcze jedno, i wciąż bez efektu. Dołączyli do nich inni ratownicy - znajomi, nieznajomi, starzy i młodzi. Ci, którzy nie byli w stanie uczestniczyć w akcji, czekali na dole z kocami i gorącymi napojami.

Michael nigdy dotąd nie widział takiej sprawnej pracy zespołowej. I wierzył, że właśnie ona ocali jego matkę i Dymitra. Zerknął na zegarek: zbliżają się do momentu krytycznego.

- Pole lawinowiska jest relatywnie niewielkie - zawołał na ich widok Iwan Petrowicz, mąż Mariski. - Pilot mówi, że z powietrza nie widać żadnych oznak życia.

Michael spojrział w stronę pogrzebanego pod śniegiem skutera.

- Maggie, nie rób mi tego... - powiedział zdławionym głosem i nasłuchiwał, nasłuchiwał...

Alek przystanąła na chwilę i rozejrzała się. Teraz na lawinowisku pracowało co najmniej pięćdziesiąt osób. Rozeszła się wiadomość, że pod śniegiem może być Dymitr i poszukiwania stały się jeszcze bardziej gorączkowe. Dymitr i...

Alek spojrziała na Michaela: wie, że tam, gdzie Dymitr, może być i jego matka, ale nie powiedział na ten temat ani słowa. Pracował jak wszyscy inni, a czasu było coraz mniej.

- Dymitr, Dymitr... - powtórzyła.

Ośloniła dłonią oczy i spojrziała na niewielką skalną półkę, na której kiedyś urządzali z Dymitrem pikniki. Łatwo było się na nią wspiąć, jednak Alek była wtedy mała i wysokość wydawała jej się zawrotna. Spędzali tam całe popołudnia, grając w szachy, jedząc kanapki i wygłupiając się, czasami aż do wieczora...

I nagle zaparło jej dech: a potem schodziła do małej jaskini, w której ledwie mogli się oboje pomieścić.

- Michael! Tam! - krzyknęła, wskazując wejście do jaskini, i zaczęła biec.

- Co? - zawołał.

- Jaskinia, może są w jaskini! - Przysypanej śniegiem i być może bliscy uduszenia!

Michael dobiegł na miejsce pierwszy. Kiedy Alek go dogoniła, klęczał już przed wejściem i razem z kilkoma ratownikami odgarniali śnieg gołymi rękami. Alek opadła na kolana, zamknęła oczy i zaczęła się modlić. Dał się słyszeć krzyk, potem drugi, wyraźniejszy.

- To on! Mama też tam jest! - wołał Michael. - Ale on chyba majaczy! Coś plecie o jakiejś bużeninie, że się bez niej nie ruszy!

- To on? - powtórzyła drżącym głosem.

- Ratownicy lewie dostali się do środka, a on już próbuje rozstawiać ich po kątach. A co to ta bużenina?

Alek przestała wstrzymywać oddech, zsunęła czapkę ze spoconego czoła i chyba upadłaby, gdyby Michael jej nie podtrzymał.

- To szynka - odparła przez łzy. - Pewnie pojechał po nią do Elim Ost.

- Skuterem?

- Tak jest najwygodniej. - Otarła łzy i roześmiała się. - Omal nie zginął przez głupią szynkę.

Ratownicy wynieśli najpierw Maggie, a chwilę później Dymitra. Michael doskoczył do matki, Alek przypadła do Dymitra, który jedną ręką tulił do piersi okazałą wieprzową szynkę, drugą machał do ratowników, nagradzany gromkimi wiwatami. Alek pocałowała go w czoło i delikatnie pociągnęła go za brodę, tak jak robiła to jako mała dziewczynka. Później się

wypłacze, kiedy będzie po wszystkim, teraz trzeba szukać dalej. Michael podszedł do niej, wziął ją za rękę i już jej nie puścił.

Alek słyszała tę historię już pięć razy, lecz mogłaby jej słuchać bez końca, siedząc przed kominkiem wtulona w ramiona Michaela, i patrząc, jak Dymitr obejmuje Maggie. Westchnęła z zadowoleniem - była spokojna. Nikt nie zginął, jej bliscy są bezpieczni.

- Najpierw usłyszałem, że coś trzeszczy - opowiadał Dymitr tubalnym głosem. - A każdy, kto przeżył tutaj tyle lat co ja, wie, co to oznacza. - Zaśmiał się donośnie. - Trzeba brać nogi za pas. Przeklęty żelazny pies okazał się zbyt wolny, więc zrobiliśmy to, co nakazywał zdrowy rozsądek. Zsiadliśmy ze skutera i zamiast próbować zbiec na dół, pobiegliśmy w poprzek zbocza. Zawsze wiedziałem, że ta jaskinia się do czegoś przyda.

- Jaskinia? - mruknęła Maggie. - Raczej dołek w skale, ledwie żeśmy się pomieścili.

- Mówiłem Maggie, że moja Aleksandra nas znajdzie. Przypomni sobie o jaskini.

- A za chwilę wyrzuci twoją bużeninę do kosza - wtrąciła roześmiana Alek.

- Cóż, będę musiał pojechać po następną. Albo ciebie poślę, awionetką. W najbliższym czasie wolałbym się zbytnio nie oddalać od domu. - Miał złamaną rękę. - Powiem wam szczerze, że chyba robię się na to za stary. Może czas ustatkować się u boku tej dobrej kobiety i poważnie pomyśleć o emeryturze za jakieś dziesięć, piętnaście lat.

- Czas przejść się do szpitala i zrobić obchód -odparła Alek, wstając. - Żal opuszczać takie miłe towarzystwo... - Uśmiechnęła się do Michaela. - Ale obowiązek wzywa.

- Może pójdę z tobą? - spytał, doganiając ją.

- Nie wolałbyś spędzić wieczoru przy matce?

- Ma Dymitra, a ja chcę być blisko ciebie - odparł, biorąc ją za rękę. -

Dzisiaj, i jutro, i pojutrze...

Alek milczała, wsłuchana w chrzęst śniegu pod butami. Zawsze lubiła ten dźwięk, jednak jeszcze cudowniej było go słuchać we dwoje.

- Tak bardzo się bałam - powiedziała cicho. -Wiem, że lawiny czasem się zdarzają, ale...

- Daj sobie czas - odparł, zatrzymując się przy rozbitym dziupie. - To najlepsze, co możemy zrobić, Alek. Dać sobie czas i żyć dalej, dzień po dniu.

Powiodła dłonią po karoserii i stanęła przodem do niego.

- Zostaniesz, Michael? Wiem, że nie mam prawa cię o to prosić, ale przetrwałam ten dzień i nie chcę stawiać czoła następnemu... bez ciebie. Wiesz, że mam problemy...

- Mniej niż sądzisz - przerwał, ujmując jej twarz w dłonie. - Nie tyle, żebyśmy sobie z nimi nie poradzili.

- Mam wybuchowy charakter - powiedziała uczciwie. - Jestem uparta i apodyktyczna.

- A mnie ludzie dalej będą jedli z ręki - zaśmiał się. - Nawet łośia potrafiłbym oczarować, jeśli trzeba.

Spojrzała na wielkiego łosia, który stał na środku drogi i gapił się na nich bezczelnie.

- O ile to „on”, a nie „ona” i nie jest w tobie zakochana, to nie widzę problemów.

- A ty, Alek? - spytał. - Jesteś we mnie zakochana?

- Tak. Tamtego dnia w Seattle zobaczyłam cię i aż mi dech zaparło.

Mieliśmy wspólną pasję, czułam to. Potem moje uczucia trochę przygasły, ale nigdy nie zniknęły. Chyba już wtedy cię kochałam, a może to było tylko zauroczenie, ale tak silne, że niewiele brakowało mu do miłości. Teraz po prostu cię kocham. Trochę mnie to przeraża, ale kocham cię i już tak zostanie.

- A przeszłość, Alek? Nie będziemy do niej wracać?

- Dla mnie liczy się tylko przyszłość, która zacznie się... - Wysunęła się z jego objęć, podciągnęła rękaw kurtki i spojrzała na zegarek. - Za jakieś dziesięć minut.

- A co się stanie za dziesięć minut?

- Skończę obchód i zostanie mi tylko jeden mały problemik - szepnęła mu do cucha. - Cnota. Znajdzie pan na to jakieś lekarstwo, doktorze?

Michael zaśmiał się.

- Byle nie w igloo.

Pół roku później

- Ileż tu przestrzeni! - wykrzyknęła Alek, wchodząc do nowego gabinetu chirurgicznego. - Coś niesamowitego! A nowe oddziały... Maggie, jesteś cudotwórczynią!

- Dla czworga lekarzy potrzeba było więcej miejsca - odparła Maggie. - Od razu uprzedzałam Dymitra, że jeśli zostanie, będę chciała rozbudować szpital, chociaż w zamyśle miało nas być troje. Oczywiście miałam nadzieję, że kiedy poznacie się z Michaeliem...

- Kategorycznie odmówiłem - wtrącił Dymitr. -A ona i tak przysłała mi ten cholerny czek dla budowlańców.

- Wtedy uwierzyłam, jak poważnie do tego wszystkiego podchodzi - podjęła Maggie. - Oznajmiłam, że to jedyny sposób, żeby ściągnąć mnie na Alaskę. Przyjął moją propozycję, bo nie miał wyjścia. Nikomu o tym nie mówiłam, bo wiedziałam, że pewien nad-opiekuńczy członek mojej rodziny będzie rwał włosy z głowy. Dowiedział się o wszystkim po fakcie, i jak się okazuje, na całe szczęście.

- Twarda z niej negocjatorka - dodał Dymitr, ściągając brwi. - Zawsze musi postawić na swoim, a kiedy jej się nie udaje, robi się marudna. I apodyktyczna. Mój Boże, ta kobieta ma swoje zdanie na każdy temat.

- Moje zdanie jest takie, że powinniśmy zacząć się bawić - oznajmiła wesoło Maggie, posyłając synowi całusa. - Michael oficjalnie się do nas przeprowadził, jest już nas nie troje, ale czworo, i pora to uczcić.

- Pięcioro - powiedziała cicho Alek.

- Czego pięcioro? - spytał Dymitr, unosząc brwi. Michael pocałował Alek i uśmiechnął się.

- Mama powiedziała, że jest nas czworo, ale się myli. Jest nas piątka.

- Nareszcie! Zostanę dziadkiem! - ucieszył się Dymitr, a potem uśmiechnął się przebiegle. - Oczywiście dla mnie to żadna niespodzianka. Miałbym nie zauważyć, że moja córka jest przy nadziei? Moja Aleksandra od kilku tygodni wprost promienieje. - Wyjął z kieszeni jakiś dokument i podał go Alek. - Mały prezent, ode mnie.

Alek zaczęła czytać. Na początku nic do niej nie docierało, lecz po chwili słowa zaczęły układać się w jedną całość.

- Adoptowałeś mnie? - spytała wzruszona.

- O wiele za późno - odparł ze smutkiem. - Powinienem był to zrobić, kiedy z nami zamieszkałaś, ale... jakoś nie mogłem się do tego zabrać. Myślałem, że dzięki temu twoje życie byłoby lepsze. Kiedy zmarła Olga, pomyślałem, że już za późno. Dopiero w dniu waszego ślubu pogadałem sobie z Michaeliem, jak to teść z zięciem, i... To tylko symboliczny gest, bo zawsze uważałem cię za swoją córkę. Mam nadzieję, że nie uznasz mnie za starego głupca.

- Nigdy. - Alek pociągnęła nosem, uśmiechając się do Michaela i do Dymitra. - Rozumiem, że jeśli urodzę syna, mam mu dać na imię Dymitr?

- Dymitr Michael, Michael Dymitr. I tak, i tak jest pięknie.

Maggie trąciła go w ramię.

- Goście czekają na guriowską kaszę - przypomniała. - I na bużeninę.

- Zrobiłaś bużeninę? - Dymitr spojrzał na Alek, ale ona tylko pokręciła głową i wskazała Michaela.

- Nie ja. On.

- Zrobiłeś bużeninę? - zdumiał się Dymitr.

- I pielmieni, i draniki - przytaknął Michael, mrugając do żony.

Dymitr rozłożył ręce.

- Synu! - zawołał. - Witaj w domu!

Michael objął Alek w talii i przyciągnął ją do siebie.

- Dobrze być w domu.

- O tak - szepnęła Alek, kładąc dłoń na rękę Michaela spoczywającej na jej brzuchu. - Po prostu cudownie.

RS